

Dziś w numerze: I Turniej Jednego Wiersza ● EWA NURCZYŃSKA Festiwale Krakowskie
 ● Wakacyjny konkurs ● MELCHIOR WANKOWICZ W szrankach o Mniszkównę ● Zewsząd
 o wszystkim ● Z dzienników ● Okaleczona ręka

odgłosy



27 (520)
 6. VII. 1969 r.
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Fot. A. Wach

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

Podróż kibica

Trzeba mieć zle w głowie, żeby za ostatnie cenne lewa, zamiast kupić rękawiczki, kozuski albo alkonol, telepać się nocą do Sofii. Przędziat drugiej klasy zapchany poróżnymi. Duszno, parno. Trudno wytrzymać. Tylko sen pozwoli przetrwać czterdziestogodzinną podróż. Brązowa derma przylepia się do ciała. Raz po raz ktoś wstaje, wyczołga na korytarz. Zapala papierosa. Byłoby rozprostować kości, rozruszać zastygłe w bezruchu mięśnie. Mdló. W nocy buret nieczynny. Świadomość tego, jeszcze bardziej wzmaga apetyt. Trudno. Trzeba wytrzymać.

W Górnych Orzechowicach wsiadają nowi podróżni. Dwoje nowych przybyszów, którzy zajęli miejsca w naszym przedziale zachciało się dyskutować o zarobkach i wynagrodzeniu za pracę akordową. Jeden z nich jest już na emeryturze. Wypadek przy pracy. Lewa noga sztywna. Podpiera się laską. Opowiada swój życiowy dramat. Ten drugi, cuchnący rakiją, którą przegryził czosnkiem, zielonym jak młoda cebula, jest nachalny w swojej ciekawości. Wypytuje o szczegóły wypadku a potem o pieniądze. Jak wysoka jest renta? Ile wyniosło odszkodowanie?

Kaleka odpowiada krótko, zwięźle. Jemu też sennie zamyka powieki.

Rzeczywiście, trzeba mieć zle w głowie, by z Warny zamiast wsiąść do polskiego sleepingu i spokojnie odjechać do Warszawy — wlec się nocą do Sofii, tylko po to, by za kilkanaście godzin na stadionie Lewskiego dopingować polskich piłkarzy. Ale jak tu nie skorzystać z taktiki okazji? Czyż nie stać mnie na te dziesięć godzin zaduchu, by móc oglądać mecz rodaków?

Dworzec w Sofii. Babinka z koszykiem pełnym owczej wełny, nie ogolony młokos ciągnący piwko i czereda harcerzyków — pionierów z tym jednym bez buta. Telefon do radia kosztuje pięćdziesiąt stotinek. Automat czynny, łączy bezbłędnie. Sekretarka informuje, że mam zamówiony hotel „Pliska”. Reprezentacyjny i też reprezentacyjnie kosztuje. Ponad dziesięć lewa ze śniadaniem. Jeszcze jeden telefon. Do Jordana. Jordan Trifonow jest dyrektorem „Bulgar-mod” — bułgarskiej mody i dużego Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Poznałem go w zeszłym roku w Warnie, kiedy to jednej nocy wymieniając swoje życiorysy wysączyliśmy trzydzieści butelek Radebergera. Jordan nie zapomniał tamtej nocy. Daje mi na trzy godziny służbową „Wolgę” i zaprasza na kawę.

„Wolga” bułgarska — taka sama, jak „Wolga” naszego radiowego kierowcy Zdzisła Kierasińskiego. Mirko tak samo jak i nasz Zdzisiek jeździ szybko i pewnie. Zręcz nie wymija przechodniów. Noga stale na hamulcu. Czerwone, żółte, zielone światła są bowiem bardziej dekoracją niż automatem regulującym uliczny ruch. Wreszcie hotel. Automatyczna, bezszmerowa winda, automatycznie kręcąca się za naciśnięciem guzika szcztoka do butów. Dla mnie hotel to odpoczynek, natrysk i dwie godziny snu. Sen przedłuża się do godzin szczęścia. Ranek jest słoneczny, ale tak samo parny jak w poprzednich dniach.

Śniadanie opłacone z rachunkiem hotelowym, smakuje. Musi smakować. Jajka

RYSZARD BINKOWSKI

POŻEGNA NIE SĄDU, DZIEW CZYNY

Za długo, chłopaki, chodziliście między tymi opłotkami, pod tymi sadami. Opatrzyły się wasze twarze ludziom we wsi. I za dużo dziewczyn przeobraçałicie w siennych kopach. Sypnął wam się wąs, wydłużyły nogi. Przeto przypomniały sobie o was wszystkie WKR-y.

Idzie czerwiec w chrabąszczach, luty w baranicy, kwiecień w baziach, październik rozsypany w złotej pogodzie. W te miesiące, chłopaki — do woja!

1.

Ostatnie dni w rodzinnych wsiach. Chłopaki żegnają dziewczyny i kumpli zza miedzy. Ucałują łeb psa. Popatrzą w jego zielone ślepie. Przepłoszą wróble spod strzechy. I zanurzą twarz w grzywie siwka, kasztana. Nikt tego nie widzi. Chłopaki wstydzą się ludzkich oczu.

Rodzice kumplowie szykują wiadro „deptanki”, barani udziec, michę kaszanek. Jak na stypę. Pożegnanie... Pójdzie chłopak — nie wróci... Więc wypiją tę wódkę. Wycalują sąsiadów. Potem pójda całą ulicą. Od rowu do rowu, po opłotki

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 3



Rajd śladami wielkich ludzi

Francja ma już nie tylko nowego prezydenta, ale i nowy rząd. Utworzył go Chaban-Delmas, po raz pierwszy w okresie V Republiki opierając się na trzech ugrupowaniach parlamentarnych. Próba zbliżenia do centrum podejmowana już w 1962 roku, lecz bez powodzenia. Teraz zamierzenie się udało. Teoretycznie zatem na forum parlamentu rząd Chaban-Delmasy powinien dysponować większością 370 głosów na ogólną liczbę 480 deputowanych. Z 18 ministrów nowego rządu czterech — to niezależni republikanie, trzech — reprezentanci grupy „Postęp i Współczesna Demokracja”.

Jednak nie to głównie charakteryzuje skład nowego gabinetu. Charakteryzuje go przede wszystkim wyeliminowanie ortodoksyjnych gaulistów w rodzaju: Couve de Murville'a i Michela Debre oraz powierzenie trzech ważnych resortów znanym „Europejczykom”: ministerstwa spraw zagranicznych — M. Schumanowi, ministerstwa gospodarki i finansów — V. Giscard d'Estaingowi i ministerstwa rolnictwa — J. Duhamelowi.

I właściwie tylko na tej podstawie, a nie deklaracji rządowej Chaban-Delmasy, można prześledzić, jak rozwinięta polityka francuska. W swej deklaracji nowy premier nie powiedział nic nowego. Korespondenci zauważają nawet, że wystąpienie to równie dobrze mogło być wygłoszone przed kilku miesiącami przez poprzedniego premiera — Couve de Murville'a. Powtarzający się w nim motyw w polityce zagranicznej — to kontynuacja, w polityce wewnętrznej natomiast — podjęcie zagadnień socjalnych.

Można mieć jednak wątpliwości, czy obietnice te zostaną dotrzymane. W polityce zagranicznej dlatego, że ani nowy prezydent, ani premier, ani wreszcie minister spraw zagranicznych nie iden tyfikują się całkowicie z linią de Gaulle'a, w polityce wewnętrznej zaś dlatego, że problemy bytowe i socjalne we Francji są tak nabrzmiałe, iż bez zasadniczych zmian trudno je rozwiązać.

Chaban-Delmas w swej deklaracji rządowej zapowiedział, że konkretny program działania przedłoży narodowi jesienią. Dopiero wówczas dowiemy się, jaki to ma być ów gaulizm bez de Gaulle'a.

A tymczasem przenieśmy się do NRF, gdzie właśnie partie polityczne wystartowały do kampanii wyborczej. Życie polityczne toczy się tam obecnie niezwykle wartkim nurtem — zjazd, debaty, liczne przemówienia polityków bońskich... Partia Kiesingera — CDU ogłosiła też swój program wyborczy. Nie odnajdujemy w nim niczego nowego. Przeciwnie — powtarzają się żądania zmiany terytorialnego status quo w Europie oraz reprezentowania całego narodu niemieckiego. Są też zapowiedzi wzmocnienia osi Waszyngton — Bonn i zwiarcia szeregów NATO. W programie — rzecz wielce charakterystyczna — ani słowem nie wspomina się o podpisaniu układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej.

Z wypowiedzi niejako towarzyszących programowi wyborczemu warto odnotować słowa Kiesingera o szczególnej roli Bundeswehry, która — jak życzy sobie kanclerz — ma stać się „szkołą dla narodu”.

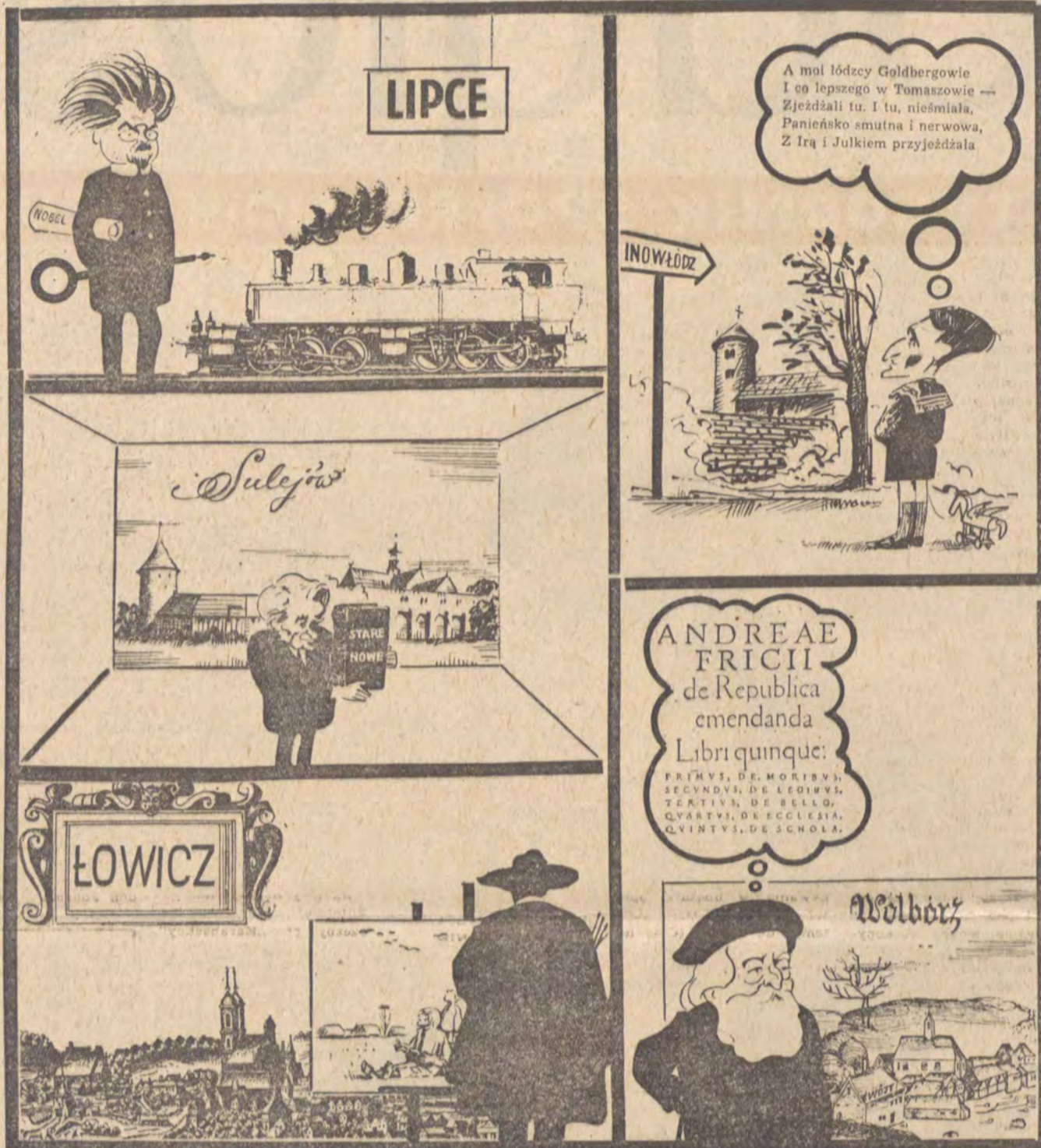
Również zjazd „opozycyjnej” FDP nie zdecydował się na żadne odchylenie od obecnego kursu polityki bońskiej. Ciche i gorące podobno życzenie przywódców FDP, aby z socjaldemokratyczną partią Brandta stworzyć w przyszłości rządzącą koalicję, poprzedzone zostało wcześniej niż głośno je wypowiedziano.

Najciekawsze procesy rozwijają się w SPD. Można je zaobserwować choćby na przykładzie reakcji na artykuł nadburmistrza Berlina zachodniego — Klause Schueta, który opowiedział się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie i stopniowym normowaniem stosunków między Polską a NRF. Artykuł ten, zamieszczony na łamach hamburskiego tygodnika „Die Zeit”, spotkał się zarówno z wielu cieżkimi opiniami, jak i druzgocącą krytyką. Wrzenie, będące jego następstwem, raz jeszcze potwierdza, jak nabrzmiały to w NRF problem i że już dłużej nie można go traktować jako tabu.

Z burzliwego początku kampanii wyborczej w NRF nie wynika jednak, że istnieje realna alternatywa dla tzw. wielkiej koalicji. Żadna z rządzących partii nie otrzyma z pewnością większości, potrzebnej do uformowania jednopartyjnego rządu. Żadnej też nie wystarczy wsparcie głosami FDP. Choć do wyborów jeszcze daleko — wstępne sondáže nie zapowiadają większych zmian w układzie politycznym. Przewidują one powtórzenie „wielkiej koalicji”. Ta jednak rozsypane jest z każdym dniem, ponieważ stale, chociaż nie zawsze dostrzegalnie, rozchodzą się drogi CDU/CSU i SPD.

I jeszcze jedna uwaga. Wszyscy, ale to wszyscy komentatorzy, są przekonani, że wybory przyniosą kolejne wzmocnienie neohitlerowskiej NPD. Jak widać — jest po temu w NRF sprzyjający klimat.

W. SŁAWSKI



Zacęły się letnie wycieczki za miasto — ty siące łodzian wyjeżdża do Spały i Grotnik, do Uniejowa i Kolumny...

Proponujemy dziś naszym Czytelnikom letni rajd śladami wielkich ludzi związanych z Łodzią i ziemią łódzką. A oto trasa rajdu: Inowłódz — Lipce — Sulejów — Wolbórz — Łowicz. Z każdą z tych miejscowości łączy się postać na trwałe zapisana w annałach polskiej kultury. Znane to postaci i ich rozszyfrowanie nie powinno nastęrczać Czytelnikom zbyt wielu kłopotów.

A gdyby jednak... Nasz grafik Stanisław Ibis-Gratkowski i na to znalazł radę. Jeśli odgadnięcie postaci tkwiących w historii wymienionych wyżej miejscowości będzie zbyt trudne — spójrzcie na rysunek. Są tam tzw. elementy pomocnicze, które winny ułatwić konkursowe zadanie. Prawda, że proste?

Teraz tylko wystarczy wypełnić kupon i przysłać go do redakcji „Odgłosów” (Łódź, Piotrkowska 96 z dopiskiem „Rajd”) — w terminie do 15 lipca br. Na zwycięzców konkursu czekają jak zwykle cenne nagrody.

- ◆ I nagroda — RADIO TRANZYSTOROWE
- ◆ II nagroda — ZEGAREK NA RĘKĘ
- ◆ III nagroda — KOMPLET PŁYT DO NAUKI JĘZYKA NIEMIECKIEGO oraz trzy wyróżnienia książkowe

Imię i nazwisko	Jaka to postać?					
Adres						
Zawód						
Miejscowość						
Inowłódz						
Lipce						
Sulejów						
Wolbórz						
Łowicz						

Podróż kibica



Fot. L. Janczak

Dalszy ciąg ze str. 1

smażone na oliwie, dżem wiśniowy, chleb z masłem. Kelner informuje jakim autobusem dostać się do centrum. Jadę do cerkwi Aleksandra Newskiego. Jest niedziela. Cerkiew zapelniona w połowie wiernymi w połowie turystami, którzy przyszli tu podziwiać jeden z najwspanialszych zbiorów ikon i posłyszec jedyne, niepowtarzalne chóry gregoriańskie.

Na stadion jedziemy razem z zawodnikami. Ubrani w czerwone dresy z emblematami na piersiach siedzą posepni — milczący. Koncentracja przed meczem? Zdeenerowanie? Opiekun ekipy prosi, by nie palić. Wśród dziennikarzy, których ulokowano w tylnej części autokaru, konsternacja. Dlaczego trener Koncewicz postanowił grać wzmocnioną defensywą? Dlaczego z góry nastawia się na porażkę? Próbuje zagadnąć siedzącego obok obrońcę Winklera. „Co robiliście przed południem?” — „Byliśmy na wycieczce. Kilkanaście kilometrów za Sofią. Nad sztucznym jeziorem Panczerewskiego”. „Wiem” — odpowiadam — tam jest knajpa ze znakomitymi rybami”. „Tak, ale nam ryb nie wolno jeść. Pan rozumie — mecz”. Rozumiem mecz jest najważniejszy. Zdecyduje, czy Polacy będą mieli szansę na finał w Meksyku, czy nie. Ale takie same apetyty mają i Bułgarzy.

Co było na stadionie Lewskiego w Sofii o tym wszyscy wiemy. Nie ma więc sensu powtarzać rzeczy znanych.

Odnotowuję jeszcze zieloną „Nyse” z białoczerwoną flagą, którą zobaczyłem przejeżdżając autokarem między milicją konną, która strzegła dostępu na stadion. Wtedy nie wiedziałem, że najbliższe czterdzieści godzin, bezpośrednio po meczu spędzę w towarzystwie tych właśnie zagorzałych kibiców. Tylko, że wtedy gdy ich poznawałem, białoczerwona flaga mniej dumnie powiewała na wietrze, a trąbka, która przed meczem znaczyła swoim metalicznym brzmieniem miejsce kolonii polskiej, po przegranym meczu wstydliwie została zawinięta w ortalion. Te trąbki przywiózł aż z Darłowa Zbigniew Świst — pracownik Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. Kierownik wodociągów i kanalizacji. Dawno, dawno temu, kiedy był jeszcze juniorem i kiedy nie miał na brzuchu zbędnych warstw tłuszczu, grywał w piłkę nożną w MZKS Gdynia. Strzelał bramki, i to zamilowanie do piłki nożnej, do sportu pozostało. Świst zawiązał kibicuje Lechii Gdańskiej. Na mecze reprezentacji Polski jeździ do Szczecina, Warszawy, Krakowa. Teraz przyjechał dopingować Polaków w dalekiej Sofii.

To właśnie Świst namówił na wyjazd swojego koleżkę Janka — inspektora nadzoru w Miejskim Zarządzie Budynków Mieszkalnych w Darłowie. Pan Janek, krępy blondyn o krótkich wytatuowanych rękach, kibicuje Szczecińskiej Pogoni. To przywiązanie do klubu stoczniovców wywodzi się jeszcze z czasów, gdy pan Janek chodził w Szczecinie do Technikum. Tam też grywał w piłkę w ówczesnej Gwardii.

Jest ich siedemnastu. Z siedemnastu uczestników składa się bowiem ta wycieczka zorganizowana przez Sport-Tourist. Zapłacili po 2500 złotych plus 480 zł na wymianę. Taka jest cena ich emocji. Byli trzy dni w Sofii i teraz markotni, smętni, wracają przez Bukareszt i Budapeszt do domu. Rozpamiętują każdą minutę spotkania, analizując błędy jeszcze raz przeżywają te pamiętne dla nich półtoręgodziny na stadionie Spartaka-Iewskiego. W każdym przedziale jakaś fiaszczyzna. Po małym koniaku lepiej się dyskutuje,

język jest bardziej elastyczny, łatwiej się wysłowić i wypowiedzieć, wszystko to, co leży na sercu.

Niemal każdy z nich gra w totka. Niektórzy, jak na przykład inżynier geolog Walerian Sobkowicz, sami we własnym przedsiębiorstwie prowadzą prywatnego totka. Obstawia się w nim wyniki Olimpiad, mistrzostw Europy, ważniejszych spotkań międzynarodowych.

Siedzimy w przedziale i spijamy bułgarską Slivovę. Ciekawi mnie, jak na te liczne hobby ten inżynier geolog urodzony koło Bytomia znajduje czas. Co na to żona, dzieci?

Żona kiedyś była sportsmenką, więc rozumie męża, a co do pieniędzy, to pan Walerian ma własne fundusze na swoje przyjemności. Są to pieniądze zarobione dodatkowymi pracami. Teraz największym marzeniem pana Waleriana jest Olimpiada w Monachium. Już teraz pan Walerian nawiązuje kontakty z niemieckimi filatelistami, by wybrać się do NRF, właśnie w czasie trwania Igrzysk Olimpijskich. Zresztą, wszyscy ci jadący teraz w sleepingu WARS-u marzą o tym, by pojechać do Monachium. Nie będzie to takie proste. Na razie umawiają się na rewanż, na mecz Bułgaria—Polska w Warszawie. No to za ponowne spotkanie! Konduktor „Warsu” nie ma już piwa. Na zagrychę jest konserwa rybna. Sardynki w oliwie. Jemy je łyżeczką. Widelec w tych sportowo-kolejowych warunkach to luksus.

Na korytarzu „soltys z Chłapkowic”. Tak go tam wszyscy nazywają. Taki chłopiec-roztropiec. Blond czupryna, w której brakuje tylko siana. Koszulka zmięta, brudna. On też pojechał na mecz. Wysłała go cała gromada. Niby nierozgarnięty, ale swój rozum ma. Koszulę non-iron za 14 lewa kupił, wódkę czasem pije, ale cudzą nie swoją.

„Po powrocie — mówi — to chyba będę sekretarzem Gromadzkiej Rady. Na pewno mnie wybiorą. Bo przecie nikt od nas za granicą nie bywał.

Chodzę od przedziału do przedziału. Rozmawiam — przysłuchuję się rozmowom. Większość tej polskiej reprezentacji kibiców to mieszkańcy małych miast, robotniczych osad.

Oto Marian Kaftan. Młody trzydziestoletni mężczyzna z Kłodawy. Pracuje w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń. Tak, jak i inni przeczytał notatkę w Przeglądzie Sportowym o projektowanym wyjeździe i jeszcze tego samego dnia pożyczyl pieniądze, załatwił formalności i w ten sposób znalazł się w sofijskim pociągu. Dla niego, tak jak i dla pozostałych osób kibicowanie wypełnia cały czas po robocie. Kaftan mi mówi: „Co ja mam w tej Kłodawie robić po pracy? No to studiuję ligowe tabele, jeżdżę na mecze Górnika Zabrze, któremu kibicuję, jeżdżę na mecze reprezentacji. Taki wyjazd jak ten to mój miesięczny zarobek.

Pociąg mija rumuńskie rozlewiska. Nie spodziewana powódź zmieniła trasę jazdy, o dobrych osiem godzin. Ale dla nich, dla tych piłkarskich kibiców najważniejsze, by zdążyć przed środową rundą rozgrywek ligowych. Już teraz obstawiają swoich faworytów. „Legia jeszcze nigdy nie wygrała w Opolu! Górnik przegra z Zagłębiem... Pogoń dogada się z Polonią.”

Po czterdziestu godzinach jazdy, ledwo powlócząc nogami wysiadam z pociągu. Ja tylko jechałem w jedną stronę z Warny. A co oni mają powiedzieć? Dwa dni do Sofii, dwa dni z Sofii, po to tylko, by przeżyć półtoręgodziny emocji na piłkarskim stadionie. Trzeba mieć źle w głowie... ale przecież ja też zmieniłem trasę podróży.

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

POLONICA

JESIENIN O POLSCE

Twórczość Sergiusza Jesienina cieszy się w naszym kraju wielką popularnością. Wietbielił poety zainteresuje zapewne, iż autor wspaniałych wierszy o Rosji sięgnął również do tematyki polskiej. Otóż w mało znanym tygodniku moskiewskim „Ogniwo” z r. 1915 odnaleziono dwa sonety Jesienina: „Grecja” i „Polska”. Sonety, opublikowane pod czas pierwszej wojny światowej, pełne są podziwu dla bohaterstwa przeszłości obu krajów, serdecznego współczucia dla ich losów i — zwłaszcza, jeśli chodzi o wiersz „Polska” — wiary w zwycięstwo. Sonety nie były przedrukowywane i aż do ostatniego czasu nie wchodziły do żadnego z wydań Dzieł poety.

Przyznać należy, że ta jedyna w twórczości Jesienina próba zastosowania sztywnych ram sonetu nie wyszła na dobre owym zapomnianym wierszom. Tak więc do formy sonetowej nie wrócił już nigdy — zbyt daleka jest od szerokiej, ludowej struktury jego zamasywej i swobodnej poezji. Dlatego też nie proponujemy poetyckiego przekładu „Polski” — wiersza słabego pod względem artystycznym sądząc, że wyrządzi libyśmy przez to krzywdę zarówno Jesieninowi jak i miłośnikom jego poezji. Wyobraźnia poety maluje czerwone, które „spalają „krwawy obłok” nad naszym krajem, „kropie miasta”, a na tym tle — świecą „w lunie (...) gwiazdy minionych wieków”.

Polskę nazywa „jasnym snem w wilgotnym więzieniu Kościuszki, niewolnicą w odłamkach aureoli”. „Twój Mickiewicz — wola — nabija działa, tyś ręką potężną rozerwała sieć niewoli”. W końcowym wersie sonetu „stycha dźwięk zwycięstw”.

Tak, z sympatią i zrozumieniem, przedstawił walkę o wolność naszej ojczyzny piewca „Rusi Radzieckiej”.

POLONICA

MELCHIOR WANKOWICZ

Wszrankach o MNISZKÓWNE

DOLUDNOŚĆ

Zli pisarze, zli malarze, zli kompozytorzy, będąc po prostu złymi rzemieślnikami, przypisują winę odbiorcy, który rzekomo nie dołącza do ich poziomu.

Przez lat piętnaście obserwowałem w „Raju” nadymanie się niedoświadczonych pisarzy, stwierdzających z goryczą, że nie są dosyć lewicowi albo dosyć patriotyczni, albo że nie pasują kielrowi, albo że wzdrażają się przed pornografią. A cóż by za nakłady mieli, gdyby zechcieli płynąć którąś z tych rymien. Tak jakby tendencja książki wystarczała za jej wartość.

Nie spotkałem książki o dużych powtarzających się nakładach, o nie wiedzającym przez

lata czytelnictwie, która by nie przynosiła czytelnikom jakichś istotnych wartości, a była oparta jedynie na majstersztyku spekulacji.

Jeśli ktoś powoła Mniszkównę czy Zarzycką, to czy słusznie powoła?

Czy te autorki były tylko spekulantkami? Po pierwsze: jestem przekonany, że im samym bardzo podobało się to, co pisały. A więc nie były spekulantkami literackimi. To pierwszy stopień dla przetrwania.

Po drugie: odpowiadały zamówieniu społecznemu swoich czasów, a ponieważ epoki na siebie zachodzą, więc łatwo nie giną i tęsknoty epok poprzedzających.

Broniłbym Mniszkówny, bronilibym Zarzyckiej.

Przypomnijmy epokę o utrudnionym awansie społecznym, w której ich książki powstały. O czymże mogła marzyć uboga dziewczyna, jak nie o spotkaniu królewicza z bajki? Tęsknoty najczęściej są arealne, ale głęboko ludzkie. Szanujemy tęsknotę do Boga. Szanujemy tęsknotę głodnych. Szanujemy tęsknotę piciową. Szanujemy tęsknotę do wolności. A na każdej tęsknoty cie zeruje albo bigoteria, albo produkcyjniak, albo pornograf, albo szowinizm. Czy dlatego sama tęsknota nie ma być uszanowana?

Zarzycka? — proszę bardzo. Pamiętam, jak już z kosza wyciągnąłem z pliku odrzuconych rękopisów „Dzikuskę”, jak z dnia na dzień rosły nakłady Rzeczypospolitej, gdzie rękopis skie rowałem, jak z niej zrobiono film z Malicką i jak w książce poszła w stu sześćdziesiąt tysięcy nakładów, niebawem tamte czasy nakładzie. Przecież trzeba wielkiej pięknoduchowskiej zarozumiałości, aby przejść nad takim zjawiskiem społecznym z pogardliwym grymasem.

Słusznie gorszy się B. Kogut: „Pisarzy tego tematu stempluje się gołosiownie i od ręki

etykietą „niskiego pułapu intelektualnego”, lub (jeszcze częściej) zgola ignoruje ich dorobek. Być może, iż twórczość tych autorów nie osiąga absolutnych wyżyn intelektualnych i należy postulować podwyższenie pułapu. Obawiam się jednak, że owo zanizanie pułapu oznacza nie więcej jak tylko to, że literatura ta nie w każdym zdaniu „obnaża nas do elementarnych struktur egzystencjalnych”.

Z takim grymasem przechodzi się i nad pisarzami o oczko wyżej i o dwa i o trzy... Z takim grymasem pisze się o pisarzach od Rodziewiczówny aż niemal po Sienkiewicza — „pana, który na świat patrzy przez rurę od barszczu”.

Ale przecież Pigoń zeznaje: „Zaczytywałem się w młodości pismami Rodziewiczówny; dla nas wtedy sugestywnością utworów górowała nad Orzeszkową”.

Cóż dziwnego — mogłaby się u niej uczyć Orzeszkowa baśniowości, umiejętnością zawiązywania intrygi.

O Rodziewiczównie pisze Żeromski w swoich pamiętnikach: „Wrota sławy stoją przed tą kobietą” wobec której piekła go „gorąca zazdrość”.

Bo Żeromski szukał jeszcze czegoś innego, niż pięknoduchy — spalał się nad zagadką jak szary człowiek zaspokaja głód życia i nad problemem jak żywić te głody czytelnice.

Przeszła ta twórczość przez alembik lat, aż w 1966 r. prof. Wyka wyznał, że „wielki to kłopot z oceną pisarki tak przecie drugorzędnej w sensie zjawiska historyczno-literackiego, a jednocześnie cieszącej się wciąż takim powodzeniem”.

W jednej z powieści Zarzyckiej bohaterka, bodaj szwaczka, jest zasypywana brylantami i futrami przez szlachetnych, którzy ją wielbią z czystości i nie marzą nawet o tym, aby się dobrać inaczej do szwaczki niż przez sakra

ment. Odwieczna kwadratura koła „i pieniądze zarobić, i wianuska nie stracić”, która przestaje być śmieszna, kiedy się pomyśli o pięknie i młodości wiedzających na poddaszu przy maszynie do szycia.

Pamiętam zaprodukowaną w przedwojennym Ipsie autentyczną śpiewaczkę podwórzową. Wyndźniała, z zatartą młodością, śpiewała: „He razy księżyc błysnął, tyle wspomnień Wandę swą”. Wzruszony, podniosłem oczy i zobaczyłem wyundulowaną paniusie-impresario, stojącą za śpiewaczką i podkreślającą „szmirowatość” groteskowymi minami.

Pokazywałem Rzym Morcinkowi. Faszerowano nas dzielami sztuki od rana do wieczora. Pewnego razu po takim zwiedzaniu pytał mnie, czy znam takie przedcedne szklane kule, w których są zalane kwiaty z dżetów i paciorków.

Owszem, znałem te straszliwe ohydy, sprzedawane po odpustach.

— U matulki taka kula stała na komodzie — mówił pisarz.

I nagle ciepło mi się zrobiło na sercu na myśl o tej kuli. On ją zobaczył nie od górnych dziesięciu tysięcy z wyflokowaną paniusią. On zobaczył to coś kolorowego, to coś irracjonalnego od stropu ponurej hałdy, od stropu odkrywk, z której kradziono płytko położony węgiel w czas plugawego bezrobocia.

Wielu pisarzy z prawdziwego zdarzenia nie lekceważy tej ciepłej doludności, staje w jej obronie.

„Pisarze — pisze Parandowski — często stają pod zarzutem schlebienia publiczności, zwłaszcza godzi on w tych, co oslagają prędką i sz-

Dalszy ciąg na str. 4

ZANIEPOKOJONE kryzysem wiary, wpływowe koła klerikalne i świeckie na Zachodzie zastanawiają się, czy nie byłoby celowe zmienić obecnego papieża, którego uważają za zbyt „nieprzejednanego”. Po niedawnych enuncjacjach amerykańskiego tygodnika „Look”, związanego z wpływowymi kołami katolickimi w USA, który otwarcie podniósł ten problem, w zachodniej prasie gwałtownie wzrosło zainteresowanie ewentualnością przedterminowych wyborów nowego papieża.

Jeśli by się takie wybory odbyły w najbliższym czasie, konklawe składałoby się ze 103 kardynałów. Kolegium kardynalskie w jego obecnym składzie uważa się za bardzo „odmłodzone”, jest w nim bowiem tylko(!) 22 kardynałów w wieku 80 lat i 33 w wieku 70 lat. Obserwatorzy uważają za praktycznie wykluczo-

BELGIJSKIE władze bezpieczeństwa zapotrzebowały natychmiast ponad stu ludzi „z ostrością wzroku minimum 7/10 dioptry w jednym oku i 3/10 w drugim”. Ponadto, zgodnie z warunkami umowy, powinni oni posiadać umiejętność podsłuchiwania rozmów z odległości pięciu metrów. Głównym zadaniem ludzi o takich kwalifikacjach byłaby ochrona sztabu NATO w Brukseli i Casto.

Mimo anonsów w biuletynach urzędowych zgłosiło się zaledwie dziesięciu kandydatów, bowiem oferowane wynagrodzenie miesięczne jest niższe od miesięcznych dochodów przeciętnego rzemieślnika. A bądź co bądź od agenta ochrony bezpieczeństwa sztabu NATO wymaga się bardzo dużo. Musi mieć średnie wykształcenie, blygle znać dwa języki — francuski i flamandzki, a także jeden język obcy, w ciężkich sytuacjach musi umieć zachować zimną krew, posiadać umiejętność prowadzenia samo-

NIE ma w tej historii ani słowa fantazji, występują w niej realni ludzie. Brazylijska policja zatrzymała w Belo-Horizonte ciężarówkę marki „Mercedes” z 66 robotnikami rolnymi. Dwóch spośród nich przyznało się, że kupił ich właściciel hacjendy w Montez Carlos za 68 nowych kruzeyros (ok. 150 złotych). W wyniku śledztwa, wyszły na jaw dowody niecodziennego przestępstwa. Federalny komisarz policji, Emilio Romano, oświadczył, iż w stanie Minas działa tajna agencja kupująca „białych niewolników”. Na trasie Rio Grande-Norte-Minas kursuje 27 samochodów ciężarowych i każdy z nich przewozi, w ciągu jednego kursu, 50-60 robotników rolnych, „kupionych” po 68 nowych kruzeyros od „szuki”. Dwóch braci: Louisa i Inacio Severino kupił właściciel ziemski Renato Andrade od Juana Jenesio, który



DWIE POWIEŚCI SENDERA

Ilekróć czujemy się zmęczeni psychicznie, fizycznie, ogarnia nas depresja, marzymy o wypoczynku, a kiedy popuścimy wodze fantazji, marzenia nasze kończą się pytaniem — co by było gdybyśmy tak nie mówiąc nikomu zniknęli. Podobnie uczynił bohater współczesnego hiszpańskiego pisarza Ramona Jose Sendera w powieści „Miejsce człowieka”. Człowiek ten zmęczony niepowodzeniami w życiu, lekceważącym stosunkiem otoczenia, niemożliwością porozumienia się z żoną, w dniu kiedy dostaje wynagrodzenie za pracę, nie wraca do domu. Zginął bez śladu a wieść o nim zaginęła na lat szesnaście. Tymczasem ludzie w miasteczku próbują dociec zagadkowego zniknięcia — Sabina. Oskarżeni zostają dwaj młodzi ludzie, z którymi widziano go po raz ostatni. Przesłuchania, śledztwo, katowanie, odtworzenie momentu morderstwa doprowadza ich do przyznania się do winy, której nie popełnili. Zapada wyrok. „Piętnaście lat szybko upływa” — stwierdza sceptycznie pisarz. Przychodzi moment powrotu do miasteczka, następuje wrastanie na nowo w środowisko, w którym się urodził, wyrosł i żył, w atmosferę jaka wytworzyła się wokół nich i ich rodzin, atmosferę czasem pełną zaufania, czasem pełną podejrzeń. Czy ludzie ci będą mieli dość siły rozpocząć nowe życie?

tytuł to „Requiem dla hiszpańskiego chłopca”, uznane przez krytyków za naj lepsze dzieło pisarza. Od pierwszych stron powieści jesteśmy obserwowani rami metamorfozy, jaka zachodzi w umyśle i osobowości bohatera, przemian tym trudniejszych, iż jest on obciążony kategoriami myślenia, jakie odziedziczył po rodzicach, wiara w boga, postulszna praca, niewdawanie się w „politykę”. Bohater powieści obserwuje życie, coraz głębiej i dojrzalej, rośnie w nim chęć poprawienia doli mieszkańców jego wsi. Znajduje zwolenników i poparcie wśród chłopów, którzy pragną zmian ale boją się ich konsekwencji. Grupa najbardziej śmiałych chłopów, wierzących w swoje racje przystępuje do działania, są jednakże zbyt słabi, aby to co zapoczątkowali zmieniło się w rewolucję. To co postępowe i sprawiedliwe zostaje skazane na śmierć. I oto w rocznicę śmierci bohatera odbywa się requiem dla hiszpańskiego chłopca.

Warto zaznaczyć, iż tematy te autor przedstawia z dużą znajomością rzeczy. Sam walczył podczas wojny domowej w Hiszpanii po stronie republikańców, współpracował z lewicową prasą, a w r. 1939 z powodów politycznych opuścił kraj. Jest autorem utworów dramatycznych, poetyckich i esejów, jednakże czołowe miejsce w jego dorobku zajmują powieści. Zyskały mu one światowy rozgłos.

Wielkie i małe sprawy, bogata galeria postaci małego hiszpańskiego miasteczka, gdzie ścierają się wpływy rodzin miejscowych bogaczy, pozujących na opiekunów biednej większości.

Inny temat porusza Jose Sender w drugiej powieści tego tomiku. Jej

Ramon Jose Sender, Requiem dla hiszpańskiego chłopca, PIW, 1968 r. cena 18 zł.

Czyżby nowe wybory?

ny wybór Włocha i jednocześnie utrzymują, iż nowy papież będzie na pewno Europejczykiem (w kolegium jest 34 kardynałów Włochów i 36 z innych krajów Europy). Spośród Europejczyków nie-Włochów najwyższą ocenę się szanse 63-letniego Franza Koeniga, prymasa Austrii i 64-letniego Leo J. Suenensa, głowy kościoła belgijskiego.

Kryzys w kościele katolickim znalazł reperkusje w gwardii Watykanu — zakonie jezuitów. Przedtem wypadki opuszczenia zakonu należały do rzadkości. Obecnie, w przeciągu dwóch ostatnich lat, porzuciło zakon ponad tysiąc księży. Szczególnie dużo szumu narobiło odejście z zakonu jezuitów namiestnika generała zakonu Schenenbergera, któremu podlegały zakony jezuitów w Europie północnej i NRF. W jego ślady poszedł prowincjał Holandii Hermans. Mówi się o odejściu z zakonu niektórych innych znanych księży jezuitów, którzy się przekonali „o niemożność nawiązania kontaktu między kościołem i nowym pokoleniem”.

(„ESPRESSO” — RZYM)

A kandydatów wciąż brak...

chodu w „najtrudniejszych sytuacjach”, w dzień i w noc, mieć tegie zdrowie, dobre ciążenie, dobre trawienie, mocne nogi (dużo stoli) i odporność psychiczną...

Zdaniem belgijskiego kontrwywiadu, największe niebezpieczeństwo grozi sztabowi NATO ze strony... samego sztabu, a ściślej mówiąc — ze strony jego własnych pracowników, przejawiających duże skłonności do alkoholu, miłości i opium. Istnieje niebezpieczeństwo, że właśnie oni mogą wynieść największe tajemnice NATO...

W Ostendzie, wajszkowi ze sztabu NATO namiętnie oddają się pijaństwu i ochoczo podrywają angielskie i belgijskie dziewczęta. Oficerowie NATO są stałymi gośćmi brukselskiego kabaretu „007” i, w większości, kupują od Murzy- na imieniem Bobby marihuane i haszysz. Wśród bywalców zakonspirowanego klubu narkomanów, agenci belgijskiego kontrwywiadu ujawnili ponad 60 wojskowych z NATO. Z taką obfitością ognisk zagrożenia bezpieczeństwa sztabu NATO, belgijski kontrwywiad nie może dać sobie rady. Stąd wołanie o powiększenie kadr. Wciąż bez widocznych rezultatów.

(„SPIEGEL” — HAMBURG)

Biali niewolnicy

zawodowo trudni się werbunkiera robotników, przeznaczonych na sprzedaż. Starszy brat, Louis, opowiada: „Jechaliśmy całą noc, stłoczeni w ciężarówce, jak bydło. Gdy wreszcie przybyliśmy do majątku Renato Andrade wpędzono nas do ciasnego szalasu, w którym, wraz z nami, Heczyto się jeszcze 22 ludzi. Spaliśmy na gołej ziemi, pracowaliśmy sto dni, od świtu do nocy. Kaleczyliśmy sobie nogi, bo nie dano nam obuwia. W przeciągu stu dni mój brat zarobił 55 nowych kruzeyros, a ja zaledwie 30. Chcieliśmy powrócić do domu, ale nam nie wolno, jesteśmy własnością właściciela majątku”...

Ciężarówkę zatrzymano, a „kupionych” robotników odesłano do domów. Ale „białe niewolnictwo” prosperuje nadal...

(„CRUZEIRO” — RIO DE JANEIRO)

Wszrankach o MNISZKÓWNE

Dalszy ciąg ze str. 3

roki rozgłos. Wystarczy zdobyć popularność, aby stracić szacunek u innych pisarzy i krytyków. Koła literackie elity jawnie lub skrycie uważają wysokie nakłady za dostateczne świadectwo, że autor jest głupecem. Nie warto się rozprawiać z tym sądem, albo literackiej młodości, albo straconych złudzeń własnych”.

Przed wojną na posiedzeniu plenarnym Akademii Literatury, miałem referat na temat wprowadzenia, wzorem Szwecji — partycypowania pisarzy nie tylko w wysokości nakładów, ale i w frekwencji książki w wypożyczalniach. Wypożyczalnie, mianowicie, miały zaku-

pywać w Akademii znaczki i za każdym razem przy wypożyczeniu książki należałoby się taki znaczek na egzemplarzu, a raz na rok obliczałoby się ilość znaczków i przesyłało wraz z należnością (bodaj po groszu za znaczek) do Akademii, która potrącałaby jakiś ułamek na koszty zaadministrowania tymi należnościami, a resztą, skumulowawszy wpływy z całego kraju, wypłacała autorom. Byłoby to wyrównaniem książek cieszących się większą popularnością, niżby można było sądzić z pokupności, na którą szeroki czytelnik nie mógł sobie pozwolić.

Projekt ten, jak i projekt Arcta usprawnienia polskiej piśniowni przez zastąpienie wzorem innych słowiańskich języków zestawów „rz”, „sz”, „cz”, „szcz”, co by dało 12 proc. oszczędności — nie przeszedł. Byłby on i teraz jakimś zdołoczymieniem dla autorów poczytnych a nie wznawianych. Rozumiem, że w obecnej strukturze jest nie do przyjęcia. Ale dlaczego by nie podjąć projektu Arcta?

Przedwojenne refleksje Paradowskiego zdaje się potwierdzać i obecnie, po wojnie, Jan Szelaż: „Nastąpił ogromny, jak się to mówi, rozdział między pojęciami wąskiej grupki ludzi piszących o literaturze z ludźmi zwykłymi. Rozdział jest tu dobrze użytym nowotworem językowym, gdyż ludzie, niestety, często ziewają na temat naszych wymądrzań się i wntosków, nie mających żadnego pokrycia”.

Obecnie mamy nawrót do mecenatu. Ale przed wojną, kiedy zabrakło Medyceuszów, zajęła ich miejsce lekceważona przez pisarzy masa czytelnicza.

Wyrażało się to w dąsach na wydawców nie kwapiących się do ponoszenia kosztów wbrew plebejskiemu mecenatowi, po czym poczęły się próby do przystosowania się do gustów nowego patrona. Próby zazwyczaj żalose. Podrobię „Trędowatą” pisząc ją z cynicznym uśmiechem, jest niemożliwością.

Lekarz w Marlenbadzie wyrysował mi, chcąc skłonić do odchudzenia, serce wypierane przez przepone i leżące ukośnie. Podczas, kiedy pisał receptę, zerknąłem do jego kosa i z poczu ciem sponiewieranej indywidualności ujrzałem szereg identycznych rysunków ad usum kliento: r przede mną.

Nie miałem się co gorszyć. Cóż innego miał rysować lekarz, skoro wszystkim dolegało to sa no?

Tym więc rozgoryczonym pisarzem zwykłem demonstrować swój rysunek, na którym różniałem literaturę I (pierwszej klasy) i literaturę II (drugiej klasy) a w obu tych literaturach jakoś A i B.

I	II
A	A
B	B

— Otóż — stukalem ołówkiem w litery B, które znamionowały wypaczone serce pisarskie nad wzdętą przeponą — wolę II/A, jak I/B.

Pokazując ten swój schemacik rozgniewanym autorem, tłumaczyłem, że Mniszkównie podoba się to co pisze.

— Każdemu grafomanowi podoba się to, co pisze.

— Ale nie każdy grafoman ma zdolności pisarskie.

— To grafoman, według pana, może mieć zdolności pisarskie?

— Widać ma, skoro trafia do dusz ludzkich. — Ale z tym wszystkim sam ma ubogi diapazon odczuwania i rozumienia.

Takie pogaduszki, jeśli rozgoryczonemu literatowi brakowało jakiegokolwiek przeszkolenia ideowego — pozostawały w próżni.

Jeśli literat ma ciekawość człowieka, to jednak zastanawia go zjawisko poczytności Mniszkówny, której powieści krąży w odpisach. Zaakceptowaniu do druku „Trędowatej” patronował Prus, pochlebnie ją recenzowali Edward Słoński, Adolf Świąciecki, Adam Grzymała Siedlecki, a więc bardzo wazcy wówczas krytycy. W Polsce przedwojennej było piętnaście wydań. W Polsce powojennej taka tęsknota panuje za Mniszkówną, że jej powieści krąży z rąk do rąk w odpisie.

Waldemar Babiniec, jeden z nielicznych pisarzy tkwiących w gąszczu ludzkim, zaznajamia nas z ankietą na temat tej poczytności. Oto jeden z głosów: „Książka jest prześlizgnięta. Każdy człowiek rozpiacze się, gdy ją przeczyta od de-

POŻEGNA NIE SĄDU, DZIEW CZYNY

Dalszy ciąg ze str. 1

rozbujań, z piosenką. Pod niebem wieczornym, w rannej zorzy pojedą na wozie. Harmonia im gra i trąbka

Już są na przystankach autobusowych, tramwajowych. Wsiadają. Jadą z nimi chłopaki, dziewczyny. Odprowadza ich matka, ojciec, wujkowie. A na dworcu stoi pociąg. Odjedzie za godzinę. Trzeba zniszczyć czas rozłąki. Trzeba go zabieć weselem. Chłopaki pływają w objęciach dziewczyn. Ciocia trzyma w dłoniach twarz siostrzeńca. Wujek trzyma nad tą twarzą pienisty kufel. Piwo ciepłe, dobrze ocukrzone.

2

Chłopaki idą do wojska. Są już na peronie. Kumpłowie śpiewają im piosenki. Chwytają się za ramiona. Tańczą. Gra harmonia, gitara. W trąbce beczy ten baran z łąk pod brzezynami.

Milicjanci z perswazją, z przymrużeniem oka. Ten ostatni wieczór... Potem wojsko. Wojsko — to wojsko. Rozkaz nie gazeta. Dyscyplina. Pożegnanie pierszy. Koniec z nocnym tankowaniem po sadach, w przydrożnych bimbrowniach. I już jesteś mniejszy. Nie ten gniewny gromadzi, żaden kizior parafialny. Ale tu nie kicie — to wojsko.

— Inny człowiek — mówią ludzie we wsiach, gdy chłopak wraca ze służby. Inny. Bo wojsko wychowuje.

3

Pęcznieją perony w miastach, miasteczkach. Z łódzkiego dworca chłopaki odjadą za pół godziny. Przegięci, wiszą w oknach. Długie pożegnania. Tium rozweseli. Skanduje: — Teraz wujek! Podszadają wujka. Szepcze: — Byłeś ino tam, Manius, nie zginał.

Maniek nie zginie. Nic, że dotąd tyle co na odpust wyskoczył, na koński jarmark. Dział jedzie na wielką przygodę. Jadą z nim chłopaki ze wsi, z miasteczek. Zobaczą morze, inne miasta, nowe życie.

— Teraz ciocia! — krzyczy tłumek. — Ciocia wisi u okiennej ramy. Wstydliwie daje siostrzeńcowi oselkę masła w płóciennym szmatce, czerwone jabłuszka wyjęte z siana. Chorowity biedak, blade. Co się

skłoni do deski. Gdyby w znanych bibliotekach były podobne, to po co by ludzie mieli ją przepisywać. Na pewno takich dziś nie drukują. Stefcia była ofiarą wyższych sfer, hrabiny i księżniczki jej nienawidziły, bo nie miała majątku, a była tysiąc razy piękniejsza od B. B. One ją podejrzewały, że leci na majątek, a ona, przeciwnie: kochała. Władka i wziętyby to nawet w samej koszuli (sic). Jest w tej książce opisana miłość, do której tęskni każda kobieta, miłość, która konczy się wprawdzie na kobiercu, ale się do niego idzie długo, drogą uślaną kwiatami, a jeszcze częściej zroszoną łzami. I mężczyzna gotów jest do najdalej idących poświęceń. Dziś chłopiec w trzecim dniu znajomości pyta: „Pobierzemy się? A ile zarabiasz? Ile masz ha? Masz mieszkanie?”

Zastanówmy się o co mamy pretensje do Mniszkówny. O naiwność, o płytkość i o styl. Naiwność, brak wiadomości o realiach, w których żyją bohaterowie — istotnie oślepiająca. Przecież Mniszkówna pochodzi z rodziny ziemianskiej, z której infiltracja do tematyki pałacowej wydaje się ułatwiona — tymczasem sfera arystokracji jest dla niej jakimś wymarzoną łąką nieznaną, którego realia należy wysnuwać z marzenia.

Członkowie tej sfery mówią o sobie nieustannie „my, arystokraci”, albo zwracają się do siebie tytułami. Ale przecież nawet w sferze Mniszkówny nikt o sobie nie mówił, że jest szlachcicem, albo „my — szlachta”. Substytutowało się to przez „ziemianie”. Do lokaja się znów mówi „ty fagasie”. Stefcia znów zwraca się do ordynata per „panie Michorowski”. Znów ordynat raz po raz „podaje jej ramię”.

ciocia martwi. Będzie kuchnia żołnierska. Regularne racje. Sen na rozkaz. Wydobrzeże żołądek.

Te chłopaki co zębki rwali na sznurku przywiązany do klonycy zaprzęzonego wozu, trafią do lekarza. Muszą!

4

— Hej, siup! Babcia! Jest babcia na peronie! Podszadził babcię. Czynie znak krzyża. — Z Bogiem, synku, z Bogiem...

Właśnie... Synek nie do kapelana. Wojsko nie zakrycia. Przyszli odpowiedni czas na kształtowanie poglądu na świat. Bo w podstawówce chłopaki mieli smar-kate myśli. Oficer polityczny przegada księdza proboszcza. I tak dokona się laicyzacja wsi.

W wagonach chłopaki ortalionowe, nylu nowe i ci w kapotkach lichych, w jupkach w jodelkę. Kontrast. Zrównacie się, chłopaki! Jeden kolor, jeden guzik, te same buty. Będzie żołnierz. Nie będzie syna badylarza, jedynaka na dwudziestu morgach, ni tego chłopaka z morgowego kłosa. Demokracja. Równość. Baczność! W tył zwrot!

5

Jeszcze dziesięć minut. Chłopaki trzymają u okien dziewczyny. Długo je całują. Koledzy zmieniają się. Podtrzymują

Ordynat jest poważny („pisał artykuły i różne programy”), ale wbrew najlepszym chęciom autorki nie wydaje nam się dobrym jeźdźcem, skoro raz po raz uderza konia „szpierzogą” i używa ostrog, kiedy dobrze wyjeżdżony koń potrzebuje tylko szenkli (dotknięcia z odpowiedniej strony cuglami lub tydką). Kiepski wariat, powoząc czwórka, puszcza ją galopem. Wydaje się też raczej „sonntagjagrem”, skoro na polowanie jedzie obwieszony „dwoma rewolwerami w ołstrach” i sztyletem. Stefcia mu sekunduje, wybraawszy się na polowanie „ze zgrabnym flowerem(?) i ładowniczką”.

Szczęściem dla Stefci jakoś tak układa się życie, że, aczkolwiek zarobkuje jako nauczycielka i jest tak dumna, że nic od nikogo by nie przyjęła, ośniewa nie tylko zwykłymi toaletami, ale i suknią z epoki na balu kostiumowym i świetnie skrojoną amazońską (tenże temat co u Zarzyckiej) — i wszystko mieć i niewinnością za to nie płacić. Nie wiadomo tylko dlaczego kołnierz ze skunksów („śmierdziel amerykański”) ma być szczytem wytworności. Bo przecież Stefcia jest wytworna w każdym calu, jeśli gra, to na fortepianie z lapis lazuli o klawiszach z konchy perłowej. A gra w sposób artystyczny. Śpiewa też. Angielski, francuski posiada w perfekcji. Wszystko to osiągnęła nie doszedszy dwudziestu lat. O ordynacie szkoda gadać — posiada wszystkie talenty (od studiów w amerykańskich laboratoriach, które mu zawdzięczają wynalazki do wirtuozowskiej gry na organach).

Ten Don Juan, który nadefflorował na mended wielkie ilości księżniczek krwi po dworach królewskich jest przy tym patriotą: nie chce

dziewczyny. Niech się nacieszy odjeżdżający. I nikt się nie śmieje. Bo chłopak po jedzie, dziewczyna we wsi zostanie. Puści się z nudów, z babskiej przewrotności. Kumpłowie napiszą.

A w dziewczęcych głowach te same myśli. Ze chłopak motylek. Z kwiatka na kwiatek. Będzie taki pisał do kolegi we wsi o te stowy na skrobanke. Cóż, przepustkowe owoce. Przeto dziewczyny mdleją pod oknami wagonów. A ściany wagonów oblepione ludzkimi ciałami. Gra harmonia, trąbka, gitara. Wzmaga się śpiew. „Przyjeżdż, mamo, na przysięgę...” A spod zimnego światła latarni, z wieczornego nieba:

— Pociąg osobowy, do Gdyni przez Kutno, Płock (...) odjedzie za chwilę z toru trzeciego przy peronie drugim...

Ruszył. Wyciągnięte ramiona. Krzyk. Szkło butelek w rozsypanych drzazgach światła. Tłum się miesza, faluje. Spływa w gardło tunelu.

6

Zza pleców milicjantów wychodzi stara kobieta. Idzie ku wyjściu. Płacze. Tak płacze matka. Została sama. Wraca do swojej ziemi, do głodnych krów. Sam na sam z zagonem, z przyjacielem psem. Przecież tylko na 10 miesięcy, bo okres służby skrócony.

Z dworców w miastach, miasteczkach odchodzą samotne matki. Do iluż z nich,

tańczyć menueta, ale za to jak prowadzi mazurą!

Język, którym pisze autorka („Waldemar patrzy tyranicznie”) jest dobrym jeźdźcem, skoro raz po raz uderza konia „szpierzogą” i używa ostrog, kiedy dobrze wyjeżdżony koń potrzebuje tylko szenkli (dotknięcia z odpowiedniej strony cuglami lub tydką). Kiepski wariat, powoząc czwórka, puszcza ją galopem. Wydaje się też raczej „sonntagjagrem”, skoro na polowanie jedzie obwieszony „dwoma rewolwerami w ołstrach” i sztyletem. Stefcia mu sekunduje, wybraawszy się na polowanie „ze zgrabnym flowerem(?) i ładowniczką”.

Jak widać wadliwy dokumentaryzm nie przeszkadza czytelnikom „Trędowatej”, jak nam nie przeszkadza istna abundancja nonsensów pierwszej jakości w „Faraonie” Prusa. Dla nich ta cała arystokracja jest równie daleka jak Egipt dla nas.

Ale przecież tak tam nie chodzi o autentyczny Egipt, jak tu o autentyczny obraz arystokracji. Chodzi o inne sprawy, bardzo nam bliskie. Dlatego tak samo darujemy grandiloquentę młodego faraona w rozmowach z ojcem czy kapitanami, jak sposób mówienia ordynata tak samo puszcza mimo uszu nieprawdopodobny fakt zabięcia przez Michorowskiego kordelasa pędzącego odyńca (kordelasy były używane dla dobitcia zwierzyny), jak że coś trysnęło na wielką odległość z pylonu świątyni i zabiło bliźniacę. Tak samo jak pianino Stefci z lapis lazuli podoba się nam pokój z lapis lazuli Thubui, jednej z bohaterki „Faraona”.

Dlaczego więc to, co wolno jest Prusowi, nie wolno jest Mniszkównie? Dlaczego wzruszamy ramionami, kiedy u Mniszkówny jakiś arystokrata niezdarne pisanym listem pragnie spowodować zerwanie Stefci, a przyjmujemy z rewerencją, kiedy w „Wiernej rzecze” Żeromskiego księżna Odrowążowa daje Salomei jako wykupne sakiwce tego nabita złotem.

a jakby nie do nich, powrócą synowie? Bo wojsko to wielki awans. Tam chłopaki zdobędą zawód. Będą monterami, elektrykami, kierowcami. Po powrocie ze służby pochlonie ich przemysł. Zdradzą ziemię, zdradzą matkę.

A drudzy postąpią inaczej. Ci z Polski centralnej z piaszczystych klinów, spod jednego krowiego ogona. Nie we wszystkich umarta miłość do ziemi. Pojadą do Żarów, Bolesławca Śląskiego, do Kołobrzegu. Tam piękne, wielkie gospodarstwa, ziemia czeka na młode ręce. Pożenią się chłopaki z dziewczynami z tych gospodarstw. Nie wrócą do swojej wsi.

7

Chłopaki jadą do wojska. W tych pociągach jedzie z nimi zapłakana twarz, niebieskie oczy dziewczyny. Pies łaciaty im szceka, rżąc konie z czerwonej łąki. Szumia im wierzby nad rzeką, pachnie jabłeczny sad.

Jadą w noc. Przez pola, przez miasta, przez ziemię nad Wisłą i Odrą.

Dlaczego jadą? Bo są ludzie, którzy nie chcą pamiętać Oświęcimia, Majdanka. Tej krwi i tego popiołu. Przeto musicie, chłopaki, jechać do wojska. Nikt nie może wejść na tę ziemię nad Wisłą i Odrą. Ta ziemia to wasz dom. Wasza Ojczyzna.

RYSZARD BINKOWSKI

Dlaczego tym wielkim wolno, a tej biedocie literackiej nie wolno powiedzieć jakiejś prawdy ludzkiej tylko dlatego, że jej język jest nalfny, że jej zasób skojarzeń ubogi? Ale przecie na to wszystko może powiedzieć: oto mnie czytają.

Tak, oto ją czytają, nie dla rozrywki. Przecież wzruszają się. A czy wzruszenie ludzkie nie jest godne zawsze szacunku?

Więc o cóż się wzruszają? Pisałem już o niewyżytym dążeniu bezsilnych do życiowego awansu. Babinicz szuka odpowiedzi jeszcze gdzie indziej: „Szukałem na dnie sprawy jakiegoś elementu romantycznego. Sądzę, że go znalazłem. Miłość, tajemniczość, tęsknota do pięknego słowa...”

Do pięknego słowa? Do tej rokokowej ohydy skrzyżowanej z secesją?

Ależ tak. Tęsknią do tego ci, których otacza wulgaryzm nie tylko gry miłosnej, ale i języka potocznego prostackiego, bez obstonki tam, gdzie w życiu najprostszej dziewczyny przecież przewiewają pasemka irracjonalnych zachwyto- i marzeń. „Ach jak się oni cudnie kochają”, ten mój Mozzuchin z tą moją Mają”.

Odkrycie głowy, panowie inteligentni i pomilczcie, na Boga, choć przez tę rytuałną, tę akademicką minutę milczenia, kiedy się czci poległych. Bo ileż zamierających ludzkich wartości szarego czytelnika tu czcimy w tych żarliwych poszukiwaniach.

Dalszy ciąg na str. 6

str. 5



I TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA

I NAGRODA

ANDRZEJ BISKUPSKI

* * *

Już między ludem idzie wieść
zrodzona w nocy — i przez sen
nawiedza innych... we dnie znika —
jak szpieg, poeta albo zbieg,
nie prosty człowiek, kmiotek — lecz sofista...

— tych, co nie myślą tak jak my
przepędzić z republiki...
— niech sępom będą na pożarcie
poza murami republiki...
— pomiędzy mózg i nasze ręce
wdzierała się niewiara w bogów...
— ci, co nie myślą tak jak my
niech będą wszędzie: pomiędzy innymi...
— jak niewolników ich sprzedamy
poza murami republiki...

Już między ludem idzie wieść
zrodzona w nocy — i jak sen
nawiedza innych pośród dnia...

A nad agorą niebo puste;
bogowie milczą — bo lud krzyczy...

I tylko w kuźniach coraz głośniej
dźwięczą łańcuchy barbarzyńców...

III NAGRODA

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI

Ostrzeżenie

Oto młeczenie.

Z powalonych piwnic
ręce umarłej dotykają gwiazdy.

Ta się przemyka wśród żelaznej klamry
stężonych oczu.

W oknach pełnych krzyku
niebo nabrzmiałym opiera się garbem.

Przed progiem cienie w ucieczce zamarłe
jak w lepkiej glinie odcisnięta stopa.

Ktoś poszedł w nicosć
i jest, gdzie go nie ma.

w aureoli roztopionej ziemi.

Ta się jak dłoń olbrzyma wznosi
w pieśń zwinięta — — —

Oto epoka.

Może nam kamieni

starczy na tyle, aby ogień skrzesać.

Potem tym ogniem cudze włosy czesać
i kąpać w dymie zalazwione oczy.

Może ktoś nóż wymyśli, może łuk odgadnie,
do pięty strzałą zatrutą piymierzy.

A opowiemy o tym wszystkim ładnie.

Bohaterowie,

którym udało się przeżyć.

II NAGRODA

HALINA SOB CZAK-JARMOŁOWSKA

obrazek III z dziećmi

cały był wielkim zdziwieniem
które ma tylko usta
i oczy
— toczyło się wprost na niego
słońce
wielkie laciaste
chce się ze mną bawić
pomyślał
już wspiął się na palce
by poglaskać je po głowie
gdy zza słońca
wychylił się wielki motyl
zawołał
nie ruszaj
to nie twoja piłka

IV NAGRODA

MIROSLAW KUŹNIAK

Anatomia

1

byliśmy bardzo pokorni czas nas wodził po manowcach
zegara wpatrzni liczyliśmy swoje zmarszczki wierzyliśmy
w błękit potu w pioluny gwiazd szliśmy z zamkniętymi
oczyma na drzwi sal tronowych ach jak tam pięknie jak
miętko chrapie ten którego który byliśmy bardzo
pokorni bohaterowie dla których ktoś tam stworzył
gramatykę boju za całkowitym alfabetem mordy ach jak tam
pięknie śpi się i umiera ale w dalszym ciągu byliśmy
pokorni

i to tylko się liczy
reszta jest tiem

2

z zwycięstwo zwycięstwo my mamy ten patos we krwi
prócz leukocytów nimfocytów ale to już jest anatomia
zwycięstwa czasem tylko krew bije nas w pysk

3

którzy uwierzyli zazdrośmy im ich wiara powoduje
gwałtowne obniżenie naszego zadowolenia z siebie
którzy uwierzyli w błękit potu w pioluny gwiazd
będą szli z bielmem światła w oczach
aż uderzą
nosem
o drzwi
zazdrośmy im oni mogą jeszcze się obudzić

4 Wniosek:

zawsze to lepiej jeśli tłum oklaszcze
choćby wyciszył przed poetą słowo
jak wino słodka jest śmierć na komnatach
jak piotun słodka przed salą tronową

bo na śmierć wieszczka niechaj milion patrzy
niechaj kobieta jaśmin rączek łamie
poeta lichy umiera samotnie
z żalu paznokcie obgryzając w bramie

1967/1969 r.



WYRÓŻNIENIE

ZDZISŁAW JASKUŁA

Oczekiwanie

Zdzisławowi Górskiemu

ta dziewczyna czeka choć już trawa splamila ziemię choć
już słońce kruszy gałęzie choć przestrzeń śpiewa i obłok
ona wie że każdą odległość można skrócić wyciągnięciem
ręki że wystarczy napiąć wzrok aby ujrzeć ta dziewczyna
więc czeka rozchyła usta bez oddechu rozświeca się cała
jej ciato jest jak okruszyna żaru twoje oczy chowa pod
swoje powieki głęboko widzi cię ciągle i układa w dło-
niach każdy szczegół pamiętny każdy sen o tobie w palcach
rozprostowuje jak jedwabną chustę a gdy już nadejdiesz
od poranka tklivsza przywita cię cichutko pochylem
głowy światła opadaniem i wstąpićie w siebie w ową głąb
niepojętą doznania wolno z namaszczeniem jak w święto
w ciszy wypełni się misterium życia

ta dziewczyna czeka
jej ciato jest jak okruszyna żaru

1969

Wszrankach o MNISZ KÓWNE

Dalszy ciąg ze str. 5

To dla tych wartości powraca w swoich lek-
turach Iwaszkiewicz czytając „Pieśń przerwa-
ną” Orzeszkowej „na nowo zawsze z tym sa-
mym wzruszeniem i zachwytem...” i przyszła

mi do głowy myśl jedna: przecie schemat kom-
pozycyjny, osnowa „Pieśni przerwanej” iden-
tyczna jest niemal z „Trędowatą” Mniszkówny.
I tu i tam uroczą panią „z dobrego domu”,
wielce wdzięk i wszystkich cnót, i tu i tam
piękny arystokrata w sile wieku, znudzony ży-
ciem, majątkiem i nieróbstwem, i tu i tam mi-
łość od pierwszego wejrzenia — i przeszkoda
w osiągnięciu szczęścia natury konwenansu to-
warzyskiego, dziś prawie niepojętego. Parale-
lizm losów Stefki Rudeckiej i ordynata Micho-
rowskiego, a Klary i księcia Oskara wręcz ude-
rzający.

Na czym więc polega różnica? „Pieśń przer-
wana” jest arcydziełem, a „Trędowata” ki-
czem, którego powodzenie czeka jeszcze na
swego badacza i socjologa.

Przecież i Orzeszkowa ucukrowała swoją bo-
haterkę do niemożliwości, i Orzeszkowa pod-
patrywała świat arystokratyczny przez dziurkę
od klucza, skoro nawet nie wiedziała, jak się
zwracała służba domowa do swoich utytułowa-
nych chlebobodawców, przecież i Orzeszkowa na-
pisała naiwną bajkę. Dlaczego tu mamy do-
czynienia z dziełem sztuki, a tam niestety, nie?

Bardzo to mnie zastanowiło jako zwykłego
czytelnika i przyznam się, trochę zmartwiło.
Znowu bowiem korzystny wyrok wypadł ra-
czej na rzecz formy, nie treści.

Mniszkówna — to przykład najjaskrawszy,
ale zastanawiający. Nie na tych zabawnych ele-
mentach jej twórczości, ale jednak na jakichś
innych rosło jej powodzenie i te elementy, któ-
re były jego powodzeniem znajdujemy w literatu-
rze i o piętro wyżej i o dwa i o całe niebo.

„Millionowa twórczość” — pisze Stanisław
Zieliński recenzując pięćdziesiątą książkę Ja-
nusza Meissnera — „żyje własnym życiem po-
za nurtem wielkich dyskusji literackich, poza
histryzującymi salonami i maglami branzo-
wymi. Sezonowe snobizmy i kapryśne mody,
lansowane przez sprzątaczkę środowiskowego
zaplecza, nie wywierają na nią najmniejszego
wpływu. Książki Meissnera leżą poza zasięgiem
układów towarzyskich i spółdzielni erotycz-
nych. W gruncie rzeczy, jest to potworne: Meis-
sner pisze, czytelnicy kupują i czytają. Z od-
krycia tak prymitywnego porządku rodzi się
niepokojące pytanie. Czy to w ogóle jest lite-
ratura? Skłonni do zadumy nad egzotyczną

trawką lub swojskim łopuchem, odczuwamy
beznadziejność na widok normalnego lasu. Żeby
tak wierzb z gruszkami albo spienieczały dąb
polatany błachą i cementem!... No, tak, nor-
malność obezwładnia.

Nie stwarzamy więc pięknośuchowskiego in-
kubatora, Mecenas współczesny, którym mógł
by być czytelnik — dla spekulanta sakiewki
nie rozwiąże, w ostatecznym rezultacie nie za-
wiedzie. Może stwarzać zapotrzebowanie na
literaturę zrozumiałszą, ale nigdy nie zaakcep-
tuje problematyki nieszczerzej.

Tak jest nie tylko w literaturze.

„Stalo się faktem” — zwraca uwagę Piażew-
ski — „ze najwybitniejsze i najtrudniejsze dzie-
ła X Muzy nie tylko są u nas kupowane, ale
osiągają zadziwiająco wysoką frekwencję. Jeśli
na ekranach całego kraju Ballada o żołnierzu
(1,5 mln widzów) bije na głowę Casino de Pa-
ris (0,9 mln), dokumentalny Proces w Norym-
berdze (1,1) tłumfuje nad komediowymi i ba-
nalnymi Praczkami z Portugalii (0,7), a jeden
z najtrudniejszych filmów roku, „Tam, gdzie
rosną poziomki” (0,6) zwycięża farsowego Pól-
główna (0,4) — to rezultatów takiego głosowa-
nia nogami można nam pozazdrościć.

Kongres ITI w Budapeszcie

Trzynasty Kongres Międzynarodowego Instytutu Teatralnego w Budapeszcie zebrał przedstawicieli 32 państw z całego niemal świata; nie brakło bowiem w stolicy Węgier reprezentantów Afryki (Egipt), Azji (Indie), Południowej Ameryki (Chile, Kuba), Australii i Libanu, zaś ekipy USA, ZSRR, Anglii, Francji i Szwecji przysłały bogaty asortyment krytyków, teoretyków oraz praktyków teatru.

Na kilka dni przed rozpoczęciem ogólnych obrad wszczęły swoją działalność komisje, w skład których weszli przedstawiciele władz ITI z poszczególnych krajów. Polskę reprezentowali Bohdan Korzeniewski, Halina Auderska i Roman Szydłowski. Obradowano w czterech komisjach: głównej, wydawniczej, studiów i teatrów muzycznych.

I tak, Komisja Główna zajmowała się sprawami — jak przystało na główną — udoskonalania form organizacyjnych, propagowaniem, koordynacją, słowem tym wszystkim, co stanowi o sprawnym funkcjonowaniu organizacji o charakterze międzynarodowym.

Komisja wydawnicza — znów jak nierzadko się domyślić — dyskutowała zagadnienia wydawnicze, mając głównie na uwadze rozszerzenie i popularyzację wydawnictw ITI. Dość realnie zarysował się projekt utworzenia periodyku poświęconego światowej scenografii, gdzie ogólnie już uznane polskie osiągnięcia w tej dziedzinie znajdują niewątpliwie obszernie miejsce w piśmie.

Komisja studiów rozpatrywała możliwość nowych inicjatyw, w oparciu o zacięśnienie i ożywienie stosunków w tonie ITI.

Wreszcie czwarta komisja, Teatrów Muzycznych, również nawiązywała do hasła Kongresu:

„TEATR PRZYJACIELEM CZŁOWIEKA”.

Nie ulega wątpliwości, że wiodącym zagadnieniem Kongresu były sprawy teatru ludowego czy popularnego, którym to epitetem chętniej posługiwali się mówcy krajów zachodnich.

Niemniej jednak wszyscy widzą przyszłość teatru w zdobywaniu dla niego odbiorców w coraz szerszych kręgach społecznych i geograficznych przede wszystkim we własnym kraju. Najwcześniejsze rozbieżności ujawniły się w sformułowaniach dotyczących realizacji tego generalnego postulatów, bowiem dla wielu krajów najbardziej palącym zagadnieniem jest poszerzenie geograficznego zasięgu teatru, gdy dla innych w pierwszym rzędzie społecznego.

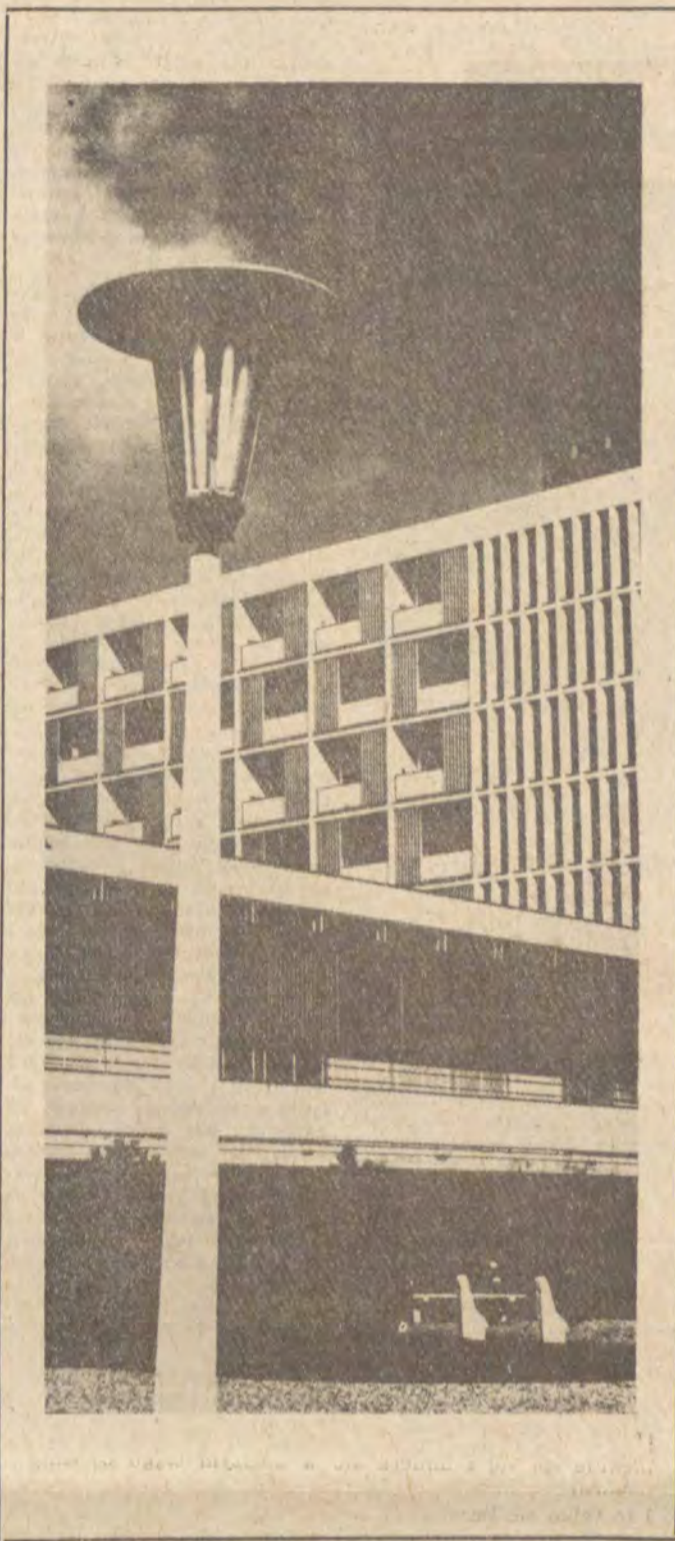
Dla przykładu przytoczę fragment wypowiedzi przedstawiciela szwedzkiej ekipy, która po gospodarzach była najliczniej reprezentowana (przew. Hans Ullberg): „Jedną z najbardziej ważnych cech współczesnego teatru szwedzkiego jest dążenie dotarcia do nowej publiczności.

I prawie każdy teatr rozwinął swoją własną strategię w tym względzie. Jedną z kluczowych zasad szwedzkiej polityki kulturalnej dzisiaj jest decentralizacja”. Ale „New activities in Swedish Theatre today”, to przede wszystkim gorączkowe zabiegi idące w kierunku „...równomiernego rozmieszczenia oraz nasycenia kraju dobrym teatrem... Tymczasem zasadniczy ciężar obsłużenia tzw. prowincji spoczywa na Narodowym Teatrze Objazdowym z administracją, środkami dystrybucyjnymi i informacyjnymi w stolicy. Wobec takiego stanu rzeczy problem „decentralizacji” a więc geograficznego poszerzenia kręgu widzów teatralnych jest dla Szwecji problemem nr 1.

Przykładem zgoła innej sytuacji w zakresie geograficznego zasięgu teatru są między innymi, chociażby gospodarze Kongresu — Węgry; dziesięciomilionowy kraj, ma stolicę o prawie dwumilionowym zaludnieniu. Budapeszt to bez mała 1/3 ludności kraju. Dla Węgier proces decentralizacji teatrów nie jest problemem geograficznym, bowiem na około 35 krajowych teatrów (w tym dwie opery w stolicy i operetka) 29 to teatry prowincjonalne, a 6 stołeczne. Zatem proporcje ilościowe dobre.

Jeżeli już mowa o tym pięknym i gościnnym kraju naszych przyjaciół, to warto, niestety również w ograniczonych ramach, poświęcić trochę uwagi tym teatrom budapeszteńskim, których spektakle mieliśmy możność obejrzeć.

Kto zna Budapeszt, ten przyzna, że jest to miasto, w którym zachowały się niemal wszystkie secesyjne piękności. Komunikatywny urok miasta polega na jego położeniu i architekturze, której ozdoba nie przeczy wewnątrz zakrzepim, jakby od czasów Franciszka Józefa, w wygodne i zaciszne azyły. Wydaje się, że celebryści tutaj liryczne i melodyjne strausowskie nastroje, przepięknie je czardaszem i węgierskim winem. Nawet nowoczesność, której tutaj nie brak, bywa podcharakteryzowana na C. K. co daje bardzo piękne efekty. Nemzeti Színház (Teatr Narodowy) to piękny przykład takiego zabiegu. W ogóle teatry, kawiarnie i kluby, a jest ich, klubów wielka mnogość w Budapeszcie — są wygodne i nieduże, Klub Teatralny, w którym odbywały się obrady Kongresu, to budynek w śródmieściu (kilkaset metrów od ul. Lenina) z pałacowym wnętrzem, wygodnym i wysmakowanym stylowo. Halle, sale obrad, biura, kawiarnia i na dziedzińcu restauracja — wszystko funkcjonalnie rozmieszczone, praktycznie i estetycznie urządzone. Obradowano w trzech językach: francuskim, angielskim i niemieckim — uczestnicy otrzymywali słuchawkę,



Nikt z nas (trzynastu recenzentów i krytyków polskich) niestety nie władał tym dźwięcznym językiem. Zapoznawano nas z fabułą, po czym zawożono nas na spektakl.

Otóż w już wspomnianym Nemzeti Színház z całą dostojnością oglądaliśmy dramat Dobry Imre pt. Eljott a Tavaszi („Przysięga wiosna”). Sztuka współczesna, ukazująca dramatyzm okresu tuż przed i tuż po zakończeniu wojny poprzez dialogi ludzi, którzy po dwudziestu latach zebrał się, żeby jeszcze raz powrócić do dawnych konfliktów. Odbywa się coś w rodzaju rozrachunku współczesnych z minionym okresem.

„Tótek” sztuka Orkeny Istvána w Thalia Színház jest barwną komedią o perypetiach rodziny wiejskiego strażaka Tóteka. Dowcipnie i z werwą ukazuje nam autor tragicomedię groteskowo przyprawioną przez reżysera. Dwie godziny

niezłej zabawy; później czas a także zbędne powtórzenia robią swoje. Po trzech bitych godzinach trwania sztuki dominuje uczucie znudzenia.

„Goryczy” dopełniają powidoki naiwnej scenografii. W ogóle ze scenografią w budapeszteńskich teatrach nie jest najlepiej, czego nie można powiedzieć o grze aktorów. Wygląda na to, że Nemzeti Színház i Thalia Színház wystawiają głównie sztuki autorów węgierskich. W Nemzeti idzie interesująca sztuka pt. „Mózes” (Mojszesz) wielkiego węgierskiego klasyka Imre Madach, a w Thalia rzecz o dwóch Don Kichotach — prawdziwym i fałszywym, którzy przebywali na dworze księżycy. Fałszywy, udowodnił swoją prawdziwość, a prawdziwemu księżdz kazal iść precz. Książę rzekł odchodzącemu Don Kichotowi: od początku wiedziałem, że tamten jest fałszywy.

Teatry węgierskie, podobnie jak i nasze, grają cały repertuar

klasyczny i współczesny światowy, zestawiając sztuki w sposób swobodny. Na przykład obok „Kawioru i kaszanki”, „Czarnej komedii” i „Panny Rosy” (Garcia Lorca) gra się „Ryszarda III”, „Intrygę i miłość” oraz „Tatuowana różę” (Williams). Sztuki węgierskie „Budapesti Almok” i „Hermelin” uzupełniają bukiet repertuarowy Madach Kameraszínhaza.

Nic nowego pod słońcem; teatry — mówi dramaturg średniego pokolenia, Honei — boją się ryzyka. Mało jest dyrektorów, którzy po przeczytaniu sztuki mają wizję jej realizacji, tym więcej, gdy autor nie jest znany czy uznany. Zdarza się, że jakąś głośną powieść czy opowiadanie adaptuje się dla sceny. Nawet z autorami, którzy sprawdzili się na scenie danego teatru nie nawiązuje się stałej współpracy. Ani teatry nie inspirować autorów ani autorzy teatrów. Polowanie na pewniaki nie stwarza właściwej atmosfery dramaturgom i nie kształtuje charakteru teatru — skąd my to znamy?

Ano właśnie... Na Kongresie niewiele mówiono o dramaturgii, mimo że teza „awangarda a teatr ludowy” padła na początku obrad i przewijała się w dyskusjach. O te teza Teatr Ludowy, to raczej materiał do rozważań o organizacji ruchu teatralnego, to termin awangarda jest bardziej bliski rozważaniom o dramaturgii. Dramaturgów zaś przybyłych na Kongres na palcach jednej ręki można było policzyć. Tak więc ograniczono się w niektórych przemówieniach do ogólnych stwierdzeń, że warto poczynić próby w kierunku zbliżenia teatru awangardowego do ludowego czy popularnego, przejmając treściami humanistycznymi pierwszą, a podnosząc poziom intelektualny i artystyczny drugiego. Problem ten wszakże, jak sądzę, jest żywy w tych krajach, gdzie teatr jest już dostępny dla szerokiego kręgu w sensie geograficznym i zdobywa sobie coraz szersze kręgi odbiorców w sensie społecznym. Jednakże dozwolenie utrudnień recepcyjnych wynikających z pogłębień myślowych i poszerzeń wyobraźniowych w sztuce musi być ostrożnie i kontrolowane, może bowiem zniechęcić nie przygotowanego odbiorcę do teatru w ogóle.

Humanizacja sztuki, o czym my w krajach socjalizmu wiemy od dawna, w krajach kapitalistycznych stała się polityczną potrzebą chwili. Trzeba młodego człowieka wychować na lojalnego, solidnego i oddanego a nawet bohaterskiego obywatela kraju, mimo że cele polityczne tego kraju niewiele mają wspólnego z humanizmem. Czarnowidzstwem, frustracją i zniechęceniem niczego ani złego, ani dobrego się nie zbuduje. Toteż problem ludowości teatru z równym zainteresowaniem dyskutowali Niemcy z NRF i Bułgari, Kanadyjczycy i Kubańczycy, Turcy i Egipcjanie.

Teatr jest najsugestywniejszym przenosicielem idei, a także postaw.

Zmierzch Ionesco, Beckett nie jest ich kapitulacją artystyczną lecz światopoglądową. Ogólnoswiatowy kryzys teatralny, który częściowo przeżyliśmy za Anglią, to okres rewizji, prób i poszukiwań nowych wartości dramatycznych. Z uwagi na pogłębiający się spadek za-

interesowania teatrem, spowodowany wzrostem środków masowego przekazu, również i politycy ruchu teatralnego, a w tym głównie profesjonalści teatru, są żywo zainteresowani zdobywaniem nowych terenów dla Melpomeny. Zbieżność taktyczna i życiowo-zachowawcza daje względną zbieżność usiłowań, czego najlepszym przykładem jest właśnie zupełnie szczerza w „geograficznych” tendencjach cytowana uprzednio wypowiedź Szwedów.

Co w konfrontacji z Kongresem wynika dla nas?

Wydaje się, że wiele spraw poddanych pod dyskusję mamy już za sobą albo prawie za sobą. Problem „geograficzności”: mapa rozmieszczenia teatrów nie budzi niepokojów, luki wypełniają teatry objazdowe. Problem socjalny? Dużo się zrobiło w tym kierunku i dość dawno zaczęło, żeby wyniki nie mówiły za siebie. Może warto by przeprowadzić specjalistyczne badania socjologiczne?

Najbardziej niepokoi to, co trapi kolegów dramaturgów węgierskich. Jakkolwiek słyszy się głosy, że z dramaturgią polską nie jest tak źle i można to nawet poprzeć nazwiskami współczesnych twórców, wszakże chyba nie o poziom szczytowy współczesnej dramaturgii polskiej, a nawet średni tu chodzi. Gdyby nawet przyrównywać rodzimą twórczość dramatyczną do europejskiej, to i tak nie powód do większych biadołów. Przyrównywać można zresztą różnie — powiedzmy „naszych” do romantyków, ale również nie o takie konfrontacje chodzi.

Jeżeli zgodzimy się, że z polską dramaturgią „nie jest tak źle”, to czemu z ustawieniem w repertuarach teatrów polskich sztuk współczesnych było tak źle?

Latosi obrodziły konkursy, a nade wszystko plony trafiły do teatrów. To i radość. Ale co zrobili teatry bez pomocy konkursów w tej materii?

Jeżeli rozumiemy, że teatr ludowy, to teatr, który wszędzie, to znaczy i na wieś i do fabryk, dociera, także więc rozumiemy, że teatr ludowy to teatr polski i z tradycji i ze współczesności polskiej wyrosły.

Radość więc polowicza. Nie adaptacjami historii teatrów narodowych stoją i nie dobrymi tłumaczeniami, choć i to liczy się dziś na wagę złota.

Bo jak powiedział dramaturg węgierski, a i my to mówiliśmy onegdaj: teatry boją się ryzyka. Mało jest dyrektorów (kierowników artystycznych i literackich), którzy po przeczytaniu sztuki mają wizję jej realizacji, tym więcej, gdy autor nie jest znany czy uznany. Zdarza się, że jakąś głośną powieść czy opowiadanie adaptuje się dla sceny... Ani teatry nie inspirować autorów, ani autorzy teatrów itd.

Rozjechaliśmy się z zalem, bo i miasto pełne uroków i piękna pogoda, rozeszliśmy się z pewnym niedostykiem. Wiele jeszcze spraw a mało czasu. Lecz nie w gadaniu rzecz się zawiera, choć wymiana poglądów i doświadczeń jest bardzo potrzebna — rzecz w tym, żeby wyciągnąć z gadania wnioski. Zobaczymy.

Za dwa lata Kongres w Londynie. Za następne dwa w Moskwie.

Tradycja i nowoczesność

Z grafiką rumuńską widzę polski miał okazję zetknąć się bliżej na I i II Biennale Grafiki w Krakowie. Na Biennale w roku ubiegłym artysta rumuński Marcel Chirnoaga w dziale „Człowiek i świat współczesny” podzielił nagrodę z Japończykiem Shiro Takagi. Otrzymał ją za pełen ekspresyjny i szlachetności międrzyty zatytułowany „Zwycięstwo”, będący na wskroś współczesnym obrazowaniem legendy o św. Jerzym. Ludzka postać, okaleczona w walce, wstaje ze zwycięstwa w niebo, pozostawiając na ziemi martwego, pokonanego potwora. Alegoria tej ry-

cynta jest nader wymowna i głęboko optymistyczna. Czynną w Warszawie w Starej Kordegardzie wystawa grafiki rumuńskiej daje obraz osiągnięć i tendencji panujących w tej dyscyplinie sztuki. Obraz zresztą bardzo ogólnikowy i siłą rzeczy fragmentaryczny.

Fakt, który przede wszystkim zwraca uwagę na tę wystawę to krzyżowanie się tendencji importowanych przy całej wielkości i różnorodności tradycji własnej. Grafika rumuńska, podobnie jak polska czy radziecka wyrosła z ryciny ludowej i do dziś od tej tradycji się nie

odcięła. Ożywna ta tradycja, pobudzana żywym wciąż kontaktem z naturą przyswaja sobie jednocześnie z całą zachłannością najcenniejsze wartości grafiki światowej. Z plansz grafików rumuńskich odczytać można przede wszystkim przemożną dążność i potrzebę do samookreślenia się pośród przemian własnych i otaczającego świata. Powyższe uwagi odnoszą się w równym stopniu do treści merytorycznych co i do samego warsztatu. Z jednej strony pieczołowicie pielęgnowanie tradycji starego rzemiosła z drugiej wysiłki zmierzające do pełnego opanowania nowych technik i metod twórczych.

Nie sposób określić, jakie kierunki zdobyły sobie supremację w grafice rumuńskiej. Krzyżują się one bowiem, nakładają na siebie, współdziałają ze sobą. Odnajdziemy i tendencje geometryczne i metaforyczny surrealiz-

mu, fascynację materialem i efekty optyczne, ekspresjonistyczne zdeformowania i autentyzm cytatu zaczerpniętego z grafiki reklamowej, z fotosu. Stan ten jest wynikiem działania wyobraźni współczesnego człowieka, wydłużonej na eksperymentach surrealizmu i dada, współczesnej reklamy i filmu. Grafika rumuńska, jak i sztuka innych krajów naszego obozu przeszła przez ucho igitelne socrealizmu. Potem zachłystnęła się abstrakcją, zresztą bez ciekawych, jak się wydaje, efektów. Obecnie daje się w niej zauważyć wyraźny zanik estetyzującej abstrakcji na rzecz różnorodnych odmian tzw. „nowej figuracji” (zjawisko charakterystyczne zresztą dla grafiki współczesnej w ogóle). Prace Marcela Chirnoagi są tego najlepszym przykładem.

Postępujący uniwersalizm w zakresie środków wypowiedzi graficznej, wyraźny proces kształ-

owania się współczesnego języka sztuki stawia grafikę rumuńskich artystów na jednej płaszczyźnie z grafiką innych krajów. Wyraźny jest w niej proces koś mopolityzacji przy zachowaniu — podkreślam — silnych związków z tradycją. Jest to zrozumiałe, bowiem grafika to dyscyplina szczególnie predysponowana do szybkiego i szerokiego rozpowszechniania, przenoszenia idei doświadczeń artystycznych z zachowaniem pełnej, szlachetnej wymowy autentyczności. Zastępującym na odnotowanie zjawiskiem jest fakt tworzenia przez niektórych artystów rumuńskich grafik na pół ludowej, która jest jednocześnie współczesna. Analogiczne przykłady znajdujemy w grafice polskiej w twórczości Józefa Panka czy Stefana Suberlika.

Niedawne są czasy, kiedy grafika była zamkniętą, hermetyczną specjalizacją, obciążoną dzie-

nictwem funkcji ilustratorskich i magią rzemiosła, która zmuszała ją do swoistych stylizacji. Dział ton i wyraz nadają jej nie graficy-specjaliści lecz twórcy, którzy obok innych dyscyplin opanowali także dyscyplinę graficzną. Malarze i rzeźbiarze, którzy są równocześnie grafikami. Tak dzieje się na całym świecie. Tak jest i w sztuce rumuńskiej. M. Chirnoaga jest malarzem. Swójemu czasowi zajmował się także rzeźbą.

Grafika rumuńska tak jak grafika polska, czechosłowacka, węgierska w sposób żywy i autentyczniejszy reaguje na sprawy dnia dzisiejszego. W tej mierze kontynuuje tradycję szlachetnego reportażu. Nie można tego, niestety, powiedzieć o malarstwie, które bądź ogląda się za siebie, bądź popada w eklektyczne dywagacje wzorów festiwalowych.

LUDZIE XX-lecia



Władysław Strzemiński z córką.

Władysław Strzemiński

Kiedy 28 grudnia 1932 roku w szpitalu gruźliczym na Chojnach dokonało się życie Władysława Strzemińskiego, jego dzieła plastyczne zdobyły wówczas jedynie magazyny muzealne i mieszkania tylko nielicznych wiernych mu do końca przyjaciół. Jednakże osobista tragedia jednego z największych ludzi w sztuce światowej XX wieku, była jednocześnie drugą klęską tych małych i zaslepionych, którzy w imię chwilowej i krótkotrwałej osobistej koniunktury skazali go na malowanie sztyldów i poniżenie. Klęską — bo czymże mogło być zaoszczędzenie, że wystarczy wyrzucić „są” muzealnych obrazy, a autora — okrzyknąć „formalistą”, aby skończyć z „pseudowielkością” i utracić indywidualność przerstającą swoich antagonistów o kilka etapów historycznych w rozwoju sztuki.

Historia jest sprawiedliwym rozrządcą. Wielkości dzieła stworzonego przez Strzemińskiego nie mógł zatrzeć nikt, tak jak niezwykłości jego ludzkiej sylwetki nie mogło zniszczyć ani poniżenie, ani pozorne przecieże skazanie na zapomnienie. Tragiczny koniec życia wzmógł tylko legendę, narastającą już za życia. Odtąd historia Strzemińskiego miała się stać nową, z każdym dniem zataczającą szersze kregi, legendę.

Tak ze strzępów opowieści i wspomnień, okrucieństw prawdy o jego życiu i z ewidentnej prawdy o twórczych dokonaniach, uformował się współczesny naszemu czasom mit. Mit — będący prawdą o wielkim polskim artyście.

Mało wyraźne jakościowo słowo „artysta” jest szczególnie w stosunku do Strzemińskiego ma-

ło przydatne i tylko zwykła obiegowość tego określenia każe je tu stosować. Kimże był bowiem Władysław Strzemiński? Z wykształcenia inżynier budowy urządzeń wojskowych ze sztuką styka się dość późno, w dwudziestym trzecim roku życia. Dzieje się to na pierwszym wielkim zakreśle jego życia, kiedy okopy I wojny światowej wyrzucają go — straszliwie okaleczonego inwalidę, na — zdawałoby się — marginesie użyteczności społecznej. Wstręt do wojny i dotychczasowego za wodu, każe przebywającemu w latach 1915—1917 w moskiewskich szpitalach Strzemińskiemu, obroć wyczułony umysł ku rewolucyjnej sztuce, jaką rodziła się wówczas w atmosferze fermentu społecznego i intelektualnego, zwiastującego rychłe nadejście Wielkiej Rewolucji. Strzemiński szybko dostępuje rolę, jaką w przebudowie starego świata ma do spełnienia nowa sztuka. Wierzy, że białe plamy istniejące w świadomości społecznej, zapelnit można poprzez rewolucyjną przebudowę świadomości wrozkowej aktywnie oddziałującej na ukształtowanie jednostki i społeczeństwa. Przystwojenie nowej myśli społecznej, akceptacja marksistowskiego, materialistycznego światopoglądu, szybko wyprowadza Strzemińskiego z pozostałości szlachecko-mieszczańskiej ideologii wyniesionej z domu i związanego z tym idealistyczno-metafizycznego spojrzenia na sztukę. Reszty dokonał krótki okres współpracy z Kazimierzem Maliewiczem, wykładającym wówczas w witebskiej szkole sztuk plastycznych. Do Polski więc przyjeżdża Strzemiński już jako ukształtowany twórca i ideolog sztuki.

Urzeczenie spuścizną plastyczną, a także laboratoryjno-teoretycznymi rozważaniami Strzemińskiego, usunęły niesłusznie na plan dalszy zainteresowanie ideą społeczną jego całej działalności. Niesłusznie — bo społeczna myśl i działalność tego artysty i ideologa, jest integralną częścią stworzonego dzieła.

Tej więc mniej znanej działalności twórcy unizmu, poświęcone będą dalsze rozważania niniejszego szkicu.

Wyprowadzeniem malarstwa z formy dualistycznej, dezorga nizuując kompozycję obrazu, był unizm, stanowiący propozycję całkowitej jedności obrazu ze środkami malarskimi mierzącymi do jego wytworzenia. Myśl teoretyczna, która zaprowadziła Strzemińskiego do unizmu jako końcowego produktu pracy malarskiej, wiodła przez przemysłienia odnoszące się do społecznej funkcji sztuki i związanej z tym roli twórcy, łącząc nie z jego odpowiedzialnością przed społeczeństwem. Unizm w zamierzeniu jego twórcy był więc nie tylko wyeliminowaniem z obrazu dynamizmów i wszelkich konfliktów dramatycznych; był również zwróceniem uwagi na fakt, że „prawo (społeczne — przyp. mój) budowy obrazu powinno stać ponad indywidualnością malującego” a „dzieło malarza powinno być zawsze większe niż taka lub inna natura malarza przypadkowa i zmienna”. (1) Dzieło sztuki miało być zatem dziełem społeczeństwa, którego artysta jest rzecznikiem. Myśl ta ogłoszona w 1928 roku wyprzedza o blisko 40 lat identyczne niemal sformułowania ideowe, pod którymi podpisuje się dziś grupa europejskich twórców i krytyków spod znaku Nowej Tendencji.

Ogłaszając te zasady Strzemiński nie mógł wówczas liczyć, że padną one na podatny grunt. Atakowany wciąż z prawiicy za „bolszewicką propagandę” i wspierany jedynie przez polską lewicową awangardę, wierzył w empiryczną sprawdzalność swojej idei i prekursorski charakter proponowanej sztuki.

Najwyższe zadania, jakie stawiał Strzemiński swojemu malarstwu, łączył jednocześnie z ogólną pracą, jaką według niego ma do spełnienia artysta w społeczeństwie. Widząc potrzebę stworzenia sztuki masowej i użytkowej, spełniającej funkcje wychowawcze, zwracał jednocześnie uwagę na fałsz, jakiemu w warunkach kapitalistycznych ulega ta funkcja sztuki; służąc interesom nie społecznym a merkantylnym potrzebom właścicieli przemysłu. Pisał: „Industrializacja sztuki wymaga zmiany nastawień produkcyjnych, panujących w niektórych działach przemysłu. Wytwórczość nastawiona nie na zaspokojenie psychicznych i fizycznych potrzeb konsumenta, lecz wyłącznie na szybki obrót towarów i ich szybkie zużycie — ma swoją odrębną kalkulację. Ta kalkulacja wymaga form imitujących luksus i bogactwo, pociągających przejściową modę, form zużywających się jak najszybciej. Jasne jest, że w granicach takiej kalkulacji — nie mieści się wytwórczość form obliczonych na zaspokojenie potrzeb konsumenta. Nowa sztuka, tworzona społecznie, nie może być sztuką indywidualnych wysiłków i nieopanowanych od ruchów, wszelkiego rodzaju „ge niuszów”. Jej zalety działania wymagają obiektywnej pracy zbiorowej — zarówno w zakresie realizacji już sprawdzonych koncepcji artystycznych, jak i w zakresie pracy laboratoryjnej — badaniu społecznej przydatności hipotez w zakresie formy i ich rozwijania w koncepcje gotowe do realizacji utylitar nych.” (2)

Pasją zatem z jaką podchodził do sztuki jako kategorii społecznej znajdowała dodatkowe ujęcie we wszechstronności jego indywidualnej działalności.

Jako artysta społeczny starał się więc również Strzemiński wypełniać swoją misję na polu architektury i urbanistyki. Projekty architektoniczne budynków użytku publicznego: szkół, przedszkoli, kłosek, także domów mieszkalnych, które wykonywał sam lub wspólnie z Katarzyną Kobro, łączyły maksymalną funkcjonalność z zasadami nowej estetyki plastycznej. Traktowane jako propozycje dla architektów i władz komunalnych, miały projekty te przekonać jego przeciwników, że racjonalizm w nauce, sztuce i architekturze jest jeden. Podobnie, choć w bardziej uniwersalnym zakresie proponował plan urbanistyczny wielkiego miasta. Wielka teoretyczna praca, poświęcona funkcjonalnemu kształtowi organizmu miejskiego, omawiająca detale i różne warianty rozwiązań, uległa zniszczeniu podczas wojny. Jedyną bardzo ogólną wersją tej pracy ogłosił Strzemiński po wojnie w 1947 r. w formie artykułu w „Myśli społecznej” pt. „Łódź sfunkcjonalizowana”. Pro

jekt ten dawał prostą a jednocześnie frapującą wizję całościowej przebudowy Łodzi. Hu manistyczny pomysł ukształtowania nowej Łodzi, nie miał nic z utopii — co niektórzy przypisywali wówczas Strzemińskiemu — uwzględniał bowiem możliwości ekonomiczne naszego kraju i opierał się o zasady cen tralnego planowania. (3)

Rozpiętość zainteresowań Strzemińskiego, szeroka droga, którą przemierzała jego indywidualność, znajdowały zawsze punkt odniesienia wobec całokształtu sztuki narodowej i tradycji kultury polskiej. Oczywiście, tradycję pojmowanej twórczo, z wyeliminowaniem zaściankowano ści i epigoństwa. Przecistawiając się burzącej ideologii futurystów, negujących dorobek historyczny i tradycję, Strzemiński zawsze z tą samą bezkompromisowością, z którą bronił sztuki nowoczesnej, występował wielokrotnie w obronie tradycji narodowych. Śmiało wystąpił więc z obroną sztuki malar skiej Matejki, kwitowanej przez nową krytykę machnięciem ręki. Dwukrotnie w 1936 i 1949 roku dokonując wartościowej a nalitycznej analizy malarstwa Jana Matejki, Strzemiński ujawnił w tej sztuce pierwiastki tej estetyki, którą wiele lat później dopiero rozwinęli surrealiści. (4)

Wszędzie tam, gdzie znajdował wartość bezwzględna, występował jako rzecznik prawdy obiektywnej i orędownik nawet takich twórców, których twórczość była — zdawałoby się — zupełnie nie do pogodzenia z estetyką jego własnej sztuki. Taką rolę spełniały ogłoszone w 1949 roku w czasopiśmie „Wies” artykuły poświęcone rzeźbie Du nikońskiego oraz sztuce amator skiej i sztuce prymitywnej, gdzie dla każdego z tych zjawisk dawał jasną i przekonującą analizę. (5)

Wreszcie sprawa rozumnego korzystania i pielęgnowania tradycji kulturalnej naszej cywilizacji zwraca Strzemińskiego ku sztuce starożytnej i ku problemom rekonstrukcji kultury antycznej. (6)

Pięcioletni okres działalności Strzemińskiego w Polsce Ludowej, w nowych warunkach społeczno-gospodarczych, jest świadectwem niezwykle intensywnego

aktywności twórczej i społecznej. W ciągu tylko trzech lat 1947—1949 ukazało się w różnych pismach 18 jego artykułów i polemik, to znaczy jedna trzecia część dorobku piśmienniczego ogłoszonego przez całe życie na łamach czasopism i gazet. A był to przecież okres, w którym powstało dzieło wielkiej wagi — „Teoria widzenia” i kres czasochłonnej pracy ze studentami w łódzkiej uczelni artystycznej. I był to wreszcie okres — a może przede wszystkim — w którym powstały jego najwybitniejsze obrazy, wienieczące tę twórczość mądrą i piękną — słynne słoneczne pejzaże — „Powidoki słońca”.

Szczególnie wielki jest wkład Strzemińskiego w rozwój kulturalny Łodzi, w podniesienie rangi społecznej miasta, z którym związany był nieprzerwanie przez przeszło trzydzieści lat. To przecież za jego zasługą powstała w okresie międzywojennym na terenie Łodzi grupa „a. r.” (artyści rewolucyjni), grupująca z całej Polski twórców spod znaku awangardy artystycznej i społecznej. Jego osobistej inicjatywy zawdzięcza dziś Łódź jedną z najciekawszych w Europie galerii sztuki nowoczesnej, kompletowanej z tak wielkim trudem przez członków grupy „a. r.” i podarowanej potem miastu. Już nawet sam ten fakt dawałby mu po czesne miejsce w historii jako wysokiego lotów działacza społecznego. A jest to tylko fragment, drobny okrucz z tej wielkiej spuścizny, jaką pozostawił po sobie Strzemiński. A przecież jako malarz był społecznikiem równie wielkim. Bo czyż ta sztuka, stawiająca zawsze rozumnie w centrum zainteresowań tylko człowieka, nie jest wystarczającym tego potwierdzeniem?

Przypisy:

1. Unizm w malarstwie — 1928 r.
2. Surogaty sztuki („Budowa” nr 1 z 1936 r.)
3. zob. mój artykuł: Łódź Strzemińskiego („Odgłosy” nr 2 z 1968 r.)
4. zob. „Forma” nr 4 z 1936 r. i „Wies” nr 8 z 1949 r.
5. zob. „Wies” nr nr 4, 15, 25, 6. zob. „Meander” nr 5/6

spektakle tygodnia

	Liczba spektakli widzów proc.	
TEATR WIELKI		
„Bajaderka”	1	1290 100
„Ruslan i Ludmiła”	1	1260 100
„Rycerskość wieśniacza”	1	1260 100
„Gorda”	1	1260 100
„Don Pasquale”	1	1260 100
„Daisi”	2	1260 100
NOWY		
„Szkoła kobiet”	3	1200 60
„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	1	700 100
„Życie jest snem”	2	700 50
NOWY MAŁA SALA		
„Szkoła kobiet”	3	450 75
POWSZECHNY		
„Radziwiłł Panie Kochanku”	2	1200 90
„Czarna komedia”	2	500 40
„Kawior i kaszanka”	1	600 90
7.15		
„Jadzia wdowa”	2	844 100
OPERETKA		
„Hrabina Marica”	6	5887 93
FILHARMONIA		
koncerty symfoniczne	2	500 40

BIBIANNA B. SOJKA

Poetycka miłość FRANZA KAFKI

Willy Haas, wydawca listów Franza Kafki do Mileny Jesenskiej pisał, że listy te są wstrząsającą historią miłosną, orgią zwątpienia, samouporzenia i samounicestwienia. W tym jednym zdaniu określony został charakter listów Kafki do Mileny. Ukazują one, może nawet lepiej niż „Dzienniki” życie autora w latach 1920 do 1922. Ukazują również dobrze jego psychikę i są jeszcze jednym kluczem, do jego twórczości.

Listy te zaliczane są do najpiękniejszych i najbardziej tragicznych listów miłosnych XX wieku. Ukazały się 28 lat po śmierci Kafki i od razu stały się bestsellerem sztuki epistolarnej. Niestety, nie wszystkie listy Kafki do Mileny zostały opublikowane; niektóre wydane w formie skróconej, bez zaznaczenia, które z nich tym skrótom uległy. Należy również wspomnieć, że Willem Haasowi, mimo wielkich starań i olbrzymiego wkładu pracy,

nie udało się ułożyć wszystkich listów chronologicznie, ponieważ nie były datowane. Nie umniejsza to jednak ich wartości literackiej. Ich układ odzwierciedla narastanie napiętności Kafki do Mileny. Tworzy wzrastającą linię strachu, lęku, samotności, rezygnacji i zwątpienia. Listy te nie są zupełnie jasne jeszcze z tego względu, że nieznaną są nam odpowiedzi Mileny. Listy Mileny do Kafki zaginęły. Zachowało się tylko 8, które napisała Milena do przyjaciela Kafki — Maxa Broda. Opublikował je Max Brod dopiero po ukazaniu się „Listów do Mileny”. Listy te są wyrazem wielkiej miłości i przywiązania do Kafki.

Milena Jesenska-Polak była znaną czeską dziennikarką i pisarką, stale mieszkającą w Wiedniu. Pochodziła z bardzo starej czeskiej rodziny. Złotyżone nazwisko ro-

dowe Mileny wryte jest na ci. Miał do niej bezgraniczne marmurowej tafli starego ratusza zaufanie. Dawał jej do czytania w Pradze, na pamiętkę, że jeden swoje dzienniki, których nikomu nie pokazywał. Przesłał jej nawet listy, pisany do swego ojca, zanim został skazany przez Habsburgów na śmierć. W zachowaniu i postępowaniu miała Milena coś z arystokratki. W decyzjach potrafiła być zimna, spokojna i opanowana, ale jeżeli w grę wchodziło uczucie lub napiętność, działała szybko i bez zastanowienia. Była doskonałym przyjacielem; jej siła niesienia pomocy była niewyczerpana. Z Mileny emanowały spokój i dobroć. Kafka pisał w jednym z listów, że nikogo nie mogłaby ona unieszczęśliwić. Nazwał ją też Matką Mileną. W chwilach wielkiego zmęczenia zawsze pragnął być przy niej, złożyć twarz na jej kolanach, czuć jej rękę na swojej głowie i tak trwać do wieczności.

Miał do niej bezgraniczne zaufanie. Dawał jej do czytania swoje dzienniki, których nikomu nie pokazywał. Przesłał jej nawet listy, pisany do swego ojca, zanim został skazany przez Habsburgów na śmierć.

Kafka poznał Milenę listownie, jako tłumaczkę jego utworów. Milena Jesenska zafascynowana utworami Kafki, jak i jego osobowością, przetłumaczyła kilka jego wczesnych opowiadań i przesłała tłumaczenie autorowi. Kafka po przestudiowaniu tłumaczenia, zachwycony jego pięknym stylem, odpisał autorce, od której otrzymał list w stylu burszowskim, list, jakiego jeszcze nie otrzymał od żadnej kobiety. Zachwycony listami Mileny, Kafka, zamiast pojechać z Meranu do Pragi, pojechał do Wiednia, aby się z nią tam zobaczyć. Tak nawiązała się między nimi koresponden-

Zdzienników

(3)

A u nas? Pisarze żyją w obawie żeby ich nie posadzono, bronią Boze, o zawodowość. Ile kompleksów na tym tle widać w ostatnich książkach Kazimierza Brandysa?

Gdy ukazało się moje „Sumienie”, skądinąd znakomity krytyk napisał w „Nowej Kulturze”, że pokazałem w tej książce świetny warsztat, doskonale i umiejętnie dawkuje napięcie, jak chirurg ostrożnie i umiejętnie przygotowuje ludzkie sumienie, ukazując je warstwa po warstwie. Napisał tak, żeby w konkluzji stwierdzić, że niestety, nie jestem Camusem, on to w „Obcym” zrobił znacznie głębiej. A mnie, przy całym szacunku dla tego krytyka, naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego ja miałbym być Camusem? Nigdy, nawet w swych najśmielszych marzeniach nie czułem się Camusem, ani Camusem; jestem średniakiem, staram się dać czytelnikowi do rąk uczciwie wykonany produkt mego życia, dobre i ciekawie napisaną książkę. Nie powinno się być jamnika za to, że nie jest wilkiem. Trzeba oceniać jego urodę w zestawieniu z innymi jamnikami. Nie wszyscy zresztą lubią wilki czy buldogi. Znam takich co kochają ratlerki. Może byłbym lepszym pisarzem, gdyby w Polsce istniał większy szacunek dla rzemiosła literackiego, gdybym się wychowywał na książkach może bez przeblisku geniuszu, ale napisanych piękną polszczyzną, gdyby mi w szkole nie kazano rozmyślać o tym, jak to Mickiewicz zemdlął pisząc Wielką Improwizację, taka go ogarnęła fala geniuszu, ale że był to facet, który znał dwanaście języków i w małym palcu posiadał znać jomość całej ówczesnej światowej literatury.

Nie narodził się w Polsce geniusz literacki, dopóki nie będzie w Polsce bardzo wielu pisarzy zawodowych, co pół roku wydających książkę — rzetelnie napisaną.

3 czerwca 1967 r.

Jeszcze tylko tydzień dzieli mnie od wyjazdu na wieś i objęcie w rzeczywistości posiadania zakupionego przeze mnie domu i gospodarstwa rolnego. Boję się tej chwili. Natychmiast spadnie na mnie wiele spraw o których nie mam pojęcia. Całe to gospodarstwo jest okropnie zaniedbane (gdzie ja miałem oczy, gdy je oglądałem?). Na narożach domu brak dachówek, dach stodoły czerni się gołymi łatami i krokiewiami, a co najgorsze, tylna ściana od strony jeziora pękła i osunęła się po stoku skarpy. Stodoła trzeba będzie wznieść od nowa. Studnia od ośmiu lat nieczynna, bo pompa zepsuta. Jak ci chłopcy mogli tu żyć, trzymać dwa konie i dwie krowy, świnię i kury, nie mając czynnej studni, przynosząc wodę od sąsiadów, oddalonych o czterysta metrów (bo tam studnie państwa wyremontowało, mieszkanie tam bowiem robotnicy leśni). Brakuje ogrodzenia, choć-

by drewnianego plotku, a dookoła ogromne przepastne lasy, drążki na plot można kupić za małe grosze. Chłopi, którzy opuszczają to moje już gospodarstwo, kupili sobie duże ośmiohektarowe pod Moragiem. Kupili za tę samą sumę, za jaką sprzedali mi te 2,33 ha z domem. To zdaje się ich czwarte przenosiny i czwarta sprzedaż. Jak długo będą tak wędrować?

Z mojego gospodarstwa jestem obowiązany odstawić rocznie 27 kg żywności i zapłacić podatek gruntowy w wysokości 107 złotych. Do tego 241 zł płaci się ubezpieczenie od ognia itp. I pomyśleć, że są ludzie, którzy mówią, że wieś jest nadmier-

dzie pomór. Ale przecież takich małych gospodarstw jak moje, są setki tysięcy; setki tysięcy hektarów ziemi posiadają takie małe gospodarstwa, z których państwo nie ma niemal żadnej korzyści.

Tak mnie ta sprawa irytuje, że pójde do prasy pogadać przy kawce z dziennikarzami rolnymi. Wyobrażam sobie jak się będą uśmiechać ironicznie.

Dwa są bowiem ściśle zamknięte i wyizolowane klany w prasie: dziennikarze sportowi i dziennikarze rolni. I jedni i drudzy uważają, że dostąpili jakiegoś nadzwyczajnego wta jemniczenia. Zwróć się z czymś do dziennikarzy rolnych, a usłyszysz w odpowiedzi: „Panie, trzeba znać wieś...” Pozbędą tym każdego. To oni tworzą wokół spraw wsi nimb tajemniczości, który oni oczywiście zgłębili. Od czasu do czasu mają ciekawkę na temat specyficznej i tajemniczej duszy chłopca. Przez sześć lat byłem dziennikarzem rolnym, chociaż jestem inteligent w trzecim już pokoleniu. Dziennikarze rolni w większości, to synowie chłopcy, nie powiem abym nie słyszał od nich uszczypliwych uwag na temat mego inteligentnego pochodzenia.

biety. Niektórzy pomyśla, że to Madonna, ale to będzie zwykła kobieta. W ogrodzie stanie stół z pniami i cztery pnie jako krzesła...

Ciekawe, jak mnie przyjmie wieś? Nie wolno dopuścić do tego, żeby mnie uważano za wariata, który nagłe zapragnął chodzić boso i w lnianych portkach.

Wytnę krzaki nad jezioro i zbuduję drewniane moło, kupię motorówkę. To wykluczy, że jestem „Jurodiwyj”. Wolę, żeby mówiono: „Eche, to przebiegłe państwo. Wie jak żyć”.

Najfatalniejsze, że na razie nie mam pieniędzy.

8 czerwca 1967 r.

Pisarz B. przeniósł się do Warszawy i święci tryumfy, pisarz R. przeniósł się do Warszawy i święci tryumfy, pisarz W. mówi, że przenosi się do Krakowa. A ja na wieś. Urodziłem się w Łodzi, wychowałem, tu zacząłem pisać. Jestem jednym z nielicznych pisarzy, który stąd się wywodzi. Pozostanie tu moja żona i mój pierwszy dom.



Fot. A. Wach

nie obciążona podatkami i zobowiązaniami wobec państwa. 107 zł podatku gruntowego, 27 kg żywności. Za swój własny garaż przez siebie zbudowany w Łodzi płacę 100 zł czynszu, ponad 500 zł wydaję na czynsz mieszkaniowy, 1500 zł płacę za ubezpieczenie samochodu. A tu dom, zabudowania, prawie dwa i pół hektara ziemi. Możliwość zarobków w lesie, gdzie wciąż potrzeba ludzi do pracy. Nie, coś tu u nas nie jest w porządku.

Oczywiście, że na dużych gospodarstwach jest inaczej, tam wchodzi w gre progresja i czasem chłopcy rzeczywiście ciężko wydolą, szczególnie jak mu wypali albo przy-

ję faktu, że urodziłem się i wychowałem w mieście. A jednak to ja napisałem „Podniesienie”. Przeciw nim, przeciw nimbovi zagadkowości i tajemniczości wsi.

A swoją drogą dziwię się: nikt nie odkrył, że jest ona polemika z tak zwaną „polską powieścią o wsi”, polemika z „zieloną literaturą”. Napisałem tę książkę przeciw Olchom, Pietakom, Kawalcem, Mortonom. I takimi będą „Liści deba”. Takie będą i inne moje książki, jeśli jeszcze kiedyś spróbuję pisać o wsi.

Rysuję sobie kształt stodoły, którą zbuduję. Będzie miała rzeźbione okapy i półkę, na której postawię wyrzeźbioną przeze mnie figurę ko-

Wszystko co dobre spotkało mnie ze strony województwa łódzkiego. Dostałem nagrodę, odznaczenie, dzieła siatki przeróżnych wyrazów uznania i zachęty dla twórczości, nawet wysunięto mnie na listę radnych WRN, jestem członkiem podkomisji kultury KW PZPR. Co można więcej ofiarować pisarzowi? Mam tak potrzebną człowiekowi świadomość, że gdybym znalazł się w kłopotach, gdybym coś potrzebował, wystarczy tam pójść, zapukać, a drzwi się otworzą i zostaną wysłuchane. To bardzo dużo. Wyznaję, że przynigdy nie napisałbym „Liści deba”, gdyby nie ta życzliwość. Po prostu chciałem pozostawić po sobie jakiś

dobry ślad. Naprawdę, z tym mecenatem państwa nie jest wcale tak źle, jak to sobie niektórzy wyobrażają. To wcale nie musi być struga pieniędzy, która płynie od państwa do kieszeni pisarza. Wystarczy czyjeś zainteresowanie. I to w porę. Myślę, że to jest nawet najważniejsze: w porę. Mój wyjazd na wieś, to nie jest ucieczka od Łodzi. Najbliższa mi jest ziemia łódzka, z niej zawsze czerpałem sok dla swojej twórczości. Ale przychodzi pora, gdy trzeba wyruszyć po nowe doświadczenia i wrócić silniejszym.

15 czerwca 1967 r.

Wczoraj nareszcie objąłem swoje gospodarstwo. Przyjechałem do J. w towarzystwie P. Dawni gospodarze już się wynieśli, oczekiwał nas tylko ich najmłodszy syn. Wreczyli mi klucze od domu, a potem wsiadł na rower i odjechał do swego nowego mieszkania pod Moragiem.

W wyobraźni już dawno przeżyłem tę chwilę, gdy znajdzie się sam na sam ze swoim nabytkiem — domem z zabudowaniami i 2,33 ha ziemi. I jeszcze raz przekonałem się, że moja wyobraźnia jest ubożuchna. Gdy po sześciu godzinach prowadzenia samochodu, objuczonego do granic możliwości (na bagażniku, na dachu wiozłem nawet swój tapczanik, który kupiłem jeszcze do dworku w Parciecach), zajechałem przed swój nowy dom, przez długą chwilę czułem się jakby przygnieciony ogromnym ciężarem. Podwórko wyglądało jak pobojowiśko, wszędzie porozwłóczona słoma, jakieś żelastwa i inne rupiecie, które poprzedni właściciel zapewne na mnie sędował. Z otwartych drzwi obory wysypywał się nawóz, rozwalająca się stodoła pokazywała swój nagły szkielet. Od czego zacząć? P. radził, aby przede wszystkim założyć zasłony i firanki w oknach, a ja byłem zdania, że powinno się wprzódy uprzątnąć podwórko i omieść cały dom. Wywiązała się między nami kłótnia, która mnie zmęczyła do reszty. Nie ulega już dla mnie żadnej wątpliwości, że P. jest jak Grzeszczyszyn z „Żyta w dzungli” Unliowskiego. Oczywiście postawiłem na swoim. Rozładowaliśmy samochód, a potem ja pojechałem trzydzieści kilometrów do najbliższego miasteczka, gdzie kupiłem grabie, miotły, proszki do szorowania itp. Po powrocie zastałem P. łowiącego ryby na kanale, który z jednej strony ogranicza moją posiadłość (z drugiej jest jezioro, z trzeciej pole sąsiada, a z czwartej droga). „Jezus Maria, czy przyjechaliśmy tu na weekend?” — zapytałem zrozpaczonego. I poczułem się rażonej. Wszystko było takie absurdalne. To gospodarstwo, dom, ten P. i ja. Miałem w kieszeni tylko tyle pieniędzy, aby kupić benzynę na drogę powrotną do Łodzi, na chleb, masło, kilka obiadów w odległym o trzynaście kilometrów Suszu. Acha, trzymałem także pieniądze na stolarza, który rego winiemem dopiero odszukać i zlecić mu zrobienie okiennic do okien. O wynajęciu kogoś do pomocy przy sprzątnięciu nie mogło już być mowy. Wreczyłem P. grabie, aby wysprzątał podwórko, a sam zabrałem się do omiatania domu i mycia podłóg. Pięć pokoi i dwie kuchnie — było co robić. O czwartej nad ranem P. znalazł w sobie tylko na tyle siły, żeby rozstawić połowę łóżeczko, a ja w ubraniu padłem na tapczanik i natychmiast zasnąłem.

Dalszy ciąg nastąpi

cja, trwająca dwa lata, od roku 1920 do roku 1922.

Listy te są dokumentem mówiącym o tym, jak znajomość Kafki z Mileną zamieniła się w przyjaźń, a z kolei w wielką miłość, potem w zwątpienie i rezygnację. Miłość ich od samego początku była miłością nieszczęśliwą. Źródła niepowodzenia tej miłości są różne. Milena była kobietą zamezną. Kochała nie tylko Kafkę, lecz i swojego męża Ernesta, znanego wiedeńskiego filozofa żydowskiego pochodzenia, który magnetycznie oddziaływał na Milenę. Nie chciała opuścić męża, ale i nie chciała utracić Kafki. Milena proponowała jemu nawet małżeństwo w trójkę. W stosunku do obu tych mężczyzn cierpiała Milena na brak decyzji, najchętniej, jak pisała, chciałaby uciec trzecią drogą, która nie prowadziłaby ani do Kafki, ani do męża, lecz gdzieś

w samotność. Tego samego pragnął i Kafka. Stanowisko Mileny, stanowisko niewyboru uważał dla siebie nawet za przychylne, czuł bowiem, że nie tylko Milena, ale i on szamoczą się daremnie z planem małżeństwa.

Porozumienie się ich obojga utrudniało to, że Milena pochodziła z bardzo starej rodziny czeskiej. Kafka głęboko i tragicznie odczuwał i pojmował swoje żydowskie pochodzenie, które często podkreślał w listach do Mileny. Nawet w stosunku do niej cierpiał na kompleks pochodzenia. W jednym z listów pisał: „...gdy przychodzisz do mnie, skaczesz w przepaść”. Oczywiście, ta niewiara w zbawienie przez miłość utrudniała również porozumienie się między nimi. Miłość, jak twierdził Kafka, jest zawsze cierpieniem. Niewiara w zbawienie przez miłość, niewiara w łaskę wy-

plywała u Kafki ze specyficznego pojmowania kary, winy i grzechu pierworodnego, który stał się dla niego obsesją. W jednym z listów do Mileny pisze: „Czasem zdaje mi się, że rozumiem grzech pierworodny lepiej niż ktokolwiek poza tym”. Każdy grzech uważał za grzech pierworodny, od którego możemy być uwolnieni, zbawieni, ale nie będziemy. Ta totalna niewiara Kafki jest przyczyną jego stanów lękowych, niepewności, izolacji i dystansu nawet wobec osoby ukochanej. Izolacja i poczucie samotności wpływają u Kafki nie tylko z jego żydowskiego pochodzenia i wyobcowania w rodzinnym mieście, ale przede wszystkim z poetyckiego pojmowania życia i twórczości. Bał się samotności, od niej uciekał ale zarazem do niej uciekał, bo to tylko dzięki niej mógł stworzyć. Konieczność pisania była

więc dla niego ciągłym nieszczęściem i szczęściem zarazem. W „Dziennikach” pisze, że to costworzył jest wynikiem samotności i dlatego musi być często sam. Kafka, chcąc być wierny poezji, nigdy nie decyduje się na połączenie z jedną kobietą, która utrudniałaby jego twórczość, zamiast ją inspirować. Dlatego jego plany małżeńskie nigdy nie zostają zrealizowane. Dwa razy zrywa zaręczyny z Felice Braun, z Julią Wohryzek, ucieka od Mileny, zaręcza się z Dorą Dyman, z świadomością, że i ten plan zostanie przecięt już tylko w cieniu śmierci.

Ambiwalencja uczuć Kafki do kobiet wpływała u niego z pracy poetyckiej i poetyckiego pojmowania miłości. Mistyczny, to jest ascetyczny element miłości odgrywa

szczególnie dużą rolę w stosunku do Mileny. Była to miłość czysto poetycka. Miłość Kafki do Mileny przypomina poetycko-irrealną miłość Dantego do Beatrycze, Kierkegaarda do Reginy Olsen, Wertera do Lotty. Aby zatrzymać w pamięci wyidealizowany obraz ukochanej, ucieka Kafka, podobnie jak Kierkegaard, od prawdziwej ukochanej. Ucieka od Felice Braun, od Julii Wohryzek, od Mileny, bo wie, że jego walka o kobiety jest daremnym mocowaniem się z życiem, ponieważ, jak pisze do Mileny, „dzbaneł był już rozbity i to dawno, zanim jeszcze zaczął wódę nosić”. Z alternatywny poezja — życie, wybiera poezję. Dlatego też miłość jego nie mogła rozwijać się w sferze rzeczywistej, ale tylko mogła być tęsknotą za ukochaną, wspomnieniem, nadzieją.

Festiwale krakowskie 1969

Doroczne święto filmu krótkiego, czyli IX Ogólnopolski i VI Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie mamy już za sobą. W świątecznej atmosferze festiwalowych pokazów i imprez królował niepodzielnie bohater krakowskich dni — film, krótki, na co dzień trochę niewidziany, dyskutowany głównie w gronie zainteresowanych twórców, sporadycznie przez krytyków filmowych, a bardzo rzadko przez szeroką publiczność.

W KRAJU

Na IX Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych Grand Prix — „Złotego Lajkonika” otrzymał film „Nazywa się Błażej Rejda” w reżyserii Krystyny Gryczelowskiej. Ten werdykt jury przyjęty został w Krakowie z pełną aprobacją. Filmowy portret rolnika Błażeja Rejda mieszkającego, jak mówi pełny tytuł filmu, w Rożnicy, w jeździe jowskim powiecie, zaspokaja naszą potrzebę szukania prawdy o człowieku. Ta prawda stanowi podstawowy walor filmu dokumentującego jeden z ważkich problemów społecznych. Ukazując życie chłopów-robotników, Gryczelowska nie dąży jednak do generalizowania, interesuje ją jedno ludzkie życie, nieefektywne lecz prawdziwe i przez jego pryzmat patrzy na problem.

„Srebrne Lajkoniki” otrzymały filmy: „Za naszą i waszą wolność” Leonida Mochaczana i Ludwika Perskiego oraz telewizyjny film „Krzysztof Penderecki” w reżyserii Krzysztofa Zanussiego. „Za naszą i waszą wolność” jest montażowym filmem powstałym z współpracy polskich i radzieckich dokumentalistów. Wysoka ranga polityczna tego filmu, jego ciekawa koncepcja narracyjna, bogactwo nieznanymi materiałami archiwalnymi, zdolność emocjonalnego zaangażowania widza zdecydowały o niewątpliwym sukcesie tego filmu.

Film „Krzysztof Penderecki”, powiększając dorobek telewizyjnego cyklu „Portrety”, na Krakowskim Festiwalu najgodniej reprezentował dynamicznie rozwijający się film telewizyjny. Film Zanussiego jest ambitną próbą charakterystyki osobowości i twórczości wybitnego kompozytora, próbuje dotrzeć do tajemnic warsztatu artystycznego.

„Brazowe Lajkoniki” wręczono twórcom pozostałych wytwórni filmowych. Otrzymały je filmy „Niesporczyki” A. Jaskólskiej (WFO), „Schody” S. Schabenbecka (SE-MA-FOR), „Po prostu żołnierze” J. Chodkiewicza („Czołówka”) i „Salome” A. Brzozowskiego (TV).

Nagrodę „Złotego Korda” fundowaną przez redakcję „Żołnierza Polskiego” otrzymał film „Operacja V-2” K. Szmagiera (WFD), nagrodę „Głosu Robotniczego” w Łodzi film „Starzyki” L. Janakowskiego (WFD) a „Syrenkę Warszawską”, nagrodę Klubu Krytyki Filmowej SDP film „Szesnaście miec lat” M. Piwowskiego (Tele-Ar).

Dyskusja nad werdyktem jury stanowi jak zwykle jeden z podstawowych momentów festiwalowych przemysłów i odczuć, jak zwykle można się z nim nie godzić, a jednocześnie nie sposób w całości negować. Nagrodzone w tym roku filmy są niewątpliwie najciekawszymi propozycjami poszczególnych wytwórni. W całości uderzają jednak w werdykt pewne dysproporcje między ilością nagród wywiezionych z festiwalu przez WFD i Telewizję Polską a nagrodami zdobytymi przez wytwórnie pozostałe.

Tym trudniej pogodzić się z faktem, że jury nie dostrzegło a przynajmniej nie doceniło w pełni wysiłku i ambitnych propozycji takich wytwórni jak WFO.

Odnosi się wrażenie, że w obecnym układzie nagród, rządzący się swoistymi prawami film popularnonaukowy nie posiada większych szans na zdobycie festiwalowych laurów. Jest to o tyle paradoksalne, że właśnie tegoroczny zestaw filmów WFO odznaczał się dużymi ambicjami zerwania ze stereotypem popularnego wykładu, ujawniając ambitne poszukiwania nowych rozwiązań interpretacyjnych i warsztatowych. Wspomnijmy tu choćby takie filmy jak: „Gdańska sztuka kuznicza” J. Żukowskiej, „Frasobliwy” W. Żukowskiego czy „Pracowite promienie” J. Popiel-Popiołka.

Należy sądzić, że przy pełnej znajomości krajowej produkcji krótkometrażowej, przy umiejętności oceny jej najistotniejszych problemów trzeba dostrzegać i punktować te jej zjawiska, które świadczą o ambitnych dążeniach i próbach przecierania dróg nowych.

W kontekście wszystkich powyższych uwag rodzi się też pytanie czy nie istnieje potrzeba ufundowania na Festiwalu nagrody, która dawałaby większe szanse nie tylko autorom filmów dokumentalnych, gdyż w tej chwili „Brazowe Lajkoniki” są tylko wygodną furtką dla kurtuazyjnych gestów, a do nagród pozostałych, z zupełnie oczywistych względów, łatwiej startować filmom dokumentalnym.

ZA GRANICĄ

Połączenie w jeden cykl obu imprez: Festiwalu Krajowego i Międzynarodowego dodaje imprezie krakowskiej niewątpliwego blasku. Czyni ją pełniejszą, bogatszą w wrażenia i spostrzeżenia, w konkluzji zaś ostatecznej pozwala przynajmniej w roku bieżącym, docenić walory krajowej produkcji.

W VI Międzynarodowym Festiwalu pokazano 67 filmów z 27 krajów. Trzeba jednak niestety stwierdzić, że pewna grupa filmów trafiła na festiwalowy ekran chyba przez zupełny przypadek, że komisja selekcyjna działająca może w najlepszej wierze stosowała jednak zbyt zanizone kryteria ocen. W werdykcie jury odnaleźliśmy w zasadzie tytuły filmów istotnie zasługujących na nagrody festiwalowe.

Grand Prix w postaci „Złotego Smoka” otrzymał radziecki film „Tylko trzy lekcje” P. Mostowaja. Trochę zaskoczona tym werdyktem publiczność festiwalowa po galowej, już powtórnej prezentacji zgłaskała jednak filmowi serdecznie i zasłużone przyjęcie. Międzynarodowe jury okazało się wrażliwe na te same wartości filmu, które wyróżniło na krajowym festiwalu, przyznając nagrodę filmowi Gryczelowskiej. Wyróżniono twórcę, który tak jak Gryczelowska nasycał swój film humanistycznym, ciepłymi akcentami. Film Mostowaja to opowieść o trzech lekcjach przeprowadzonych z uczniami jednej klasy. Te trzy szkolne lekcje to trzy swoiste lekcje życia.

Nagrodę specjalną — „Złotego Smoka” przyznano francuskiemu filmowi animowanemu „Niewypał” reż. J. F. Laguionie, oceniając bardzo wysoko walory animacyjne tej krótkiej lecz celnej opowieści o przywarach człowieka.

„Złoty Smok” dla filmu „Niewypał”, „Srebrny Smok” dla innego filmu animowanego pt. „Dziura” P. Kamlera. Nagroda Cidale dla kanadyjskiego filmu „Spacerkiem” i specjalna nota wyróżniająca trzy inne filmy animowane świadczy, iż ten gatunek krótkometrażowy święcił na tegorocznym festiwalu triumfy szczególne. „Srebrnego Smoka” przyznano kubańskiemu filmowi „Madina” — Boe’ J. Massipa, akcentując tym werdyktem polityczne i społeczne funkcje filmu, który powstał jako wynik współpracy dwóch narodów walczących o wolność i godność swego kraju. Przyznanie tej samej nagrody jugosłowiańskiemu filmowi „Imię człowieka” B. Tanovića to wyraz dużego uznania dla umiejętności szlachetnego i pełnego taktu posługiwania się kamerą filmową w celu wydobycia obrazu pewnej wyobcowanej ludzkiej zbiorowości, której portret łatwo mógł ulec deformacji. Intymny, ścisły ton tej filmowej relacji dostarczył dużej dozy wzruszeń, tak rzadkich na tegorocznym festiwalu.

Wielkiej natury, w której udało się twórcom osiągnąć obrazowy odpowiednik słownej precyzji mistrza La Fontaine’a.

Witold Szmagier otrzymując za swój film „Operacja V-2” nagrodę „Srebrnego Smoka” zdobył na krakowskim festiwalu drugą już nagrodę. „Operacja V-2” poza niewątpliwymi walorami świetnego wykorzystania wszystkich możliwych środków filmowej relacji i analizy wydarzeń historycznych przypomina w szczególności ekspresyjny sposób wydarzenia, które w dziejach drugiej wojny światowej stanowią jeden z najbardziej heroicznych i sensacyjnych epizodów. Jest filmem o tych Polakach, którzy uratowali Londyn.

Dwa filmy na VI Międzynarodowym Festiwalu otrzymały aż dwie nagrody: Dyplom honorowy jury i nagrodę Fipresci. Są to: wietnamski film „Rzówisko w ogniu” Phan Quy i „Szkielet do filmu o Indiach” P. P. Pasoliniego.

A reszta? Pisać by można jeszcze wiele. Można by mówić o tych filmach, którym mimo wysokich wartości nie udało się zdobyć nagród i o tych złych, które na festiwalu znaleźć się nie powinny i o całej serii zabawnych opowiadań, które zmęczoną trudami festiwalowych projekcji publiczność bawiły tak radośnie jak np. czterometrowy (sic!) film „Nie lubię beatlesów”. Miejsca już jednak nie ma, festiwal się skończył. Mieliśmy i sporo wrażeń i sporo rozczarowań. A teraz czekamy na rok następny.



Ekran i słowo

Co to znaczy, że słowo pisane albo sprawdza się, albo nie sprawdza w telewizji? Dlaczego jednego tekstu słuchamy z zainteresowaniem lub przejęciem, a drugi nas nuży? Jakim warunkom winien odpowiadać dobry tekst telewizyjny?

Jest to cały splot zagadnień, na które trudno o odpowiedź prostą i jednoznaczną. Jakoś prościej wygląda sprawa wykonawstwa, interpretacji tekstu przez aktora. Wiemy, jak wielkie znaczenie ma swoboda wykonawcy przed kamerą. Ale swoboda nie mająca nic wspólnego z wszelkiego rodzaju niebaldacją czy dezynwolturą. Przeciwnie, musi ona się rodzić z wielkiego skupienia wewnętrznego aktora, z gruntownej znajomości swoich psychofizycznych warunków.

Dla aktora swoistym warsztatem pracy jest on sam, jego ciało, a w telewizji szczególnie twarz: oczy, usta, mięśnie twarzy. Dobry aktor musi nad sobą panować, dawkując odpowiednio środki ekspresji. I choć w studiu telewizyjnym nie ma na ogół publiczności, to przecież aktor nie może zapominać o istnieniu wielomilionowej niewidzialnej dla niego widowni, musi grać z myślą o niej.

A słowo pisane dla telewizji, lub pisane dla innych celów ale potem dla telewizji wybrane? Jakim musi odpowiadać warunkom? W równych rzadkach liter bliźniaczo do siebie podobnych ludzie zarejestrowali tyle swoich obserwacji, myśli i uczuć. Jak rozpoznać, które z tych zapisów nadają się, a które nie nadają się dla telewizji?

Gdy doświadczenia telewizyjne były skromniejsze, uważano się, że dla małego ekranu szczególnie predysponowane są teksty dramatyczne. Są one bowiem od razu rozpisane na różnych wykonawców, każda postać (jeśli dramaturg ma jakieś doświadczenie) przemawia swoim głosem, to jest nieco inaczej niż pozostałe postaci. Tak jak i w życiu każdy człowiek przemawia w specyficzny, właściwy dla siebie sposób. Wreszcie jeszcze jedna cecha tekstu dramatycznego godna jest wymienienia: konfliktowość. Postaci dramatu znajdują się najczęściej w sytuacjach konfliktowych, co nadaje dynamikę ich wypowiedziom.

Na pozór więc głównie tekst dramatyczny przystosowany jest dla celów telewizji. Ale gruntowniejsze przemyslenia i praktyka telewizyjna wskazują, że nie można tego stwierdzenia traktować jako reguły. Teksty dramatyczne pisane są najczęściej z myślą o teatrze, a prawa sceny są inne niż prawa szklanego ekranu. Stąd i wymogi wobec tekstu inne.

Gra się, oczywiście, w telewizji Fredrę, Mollera, czy nawet Szekspira, ale klasyczny dramat brzmi chyba lepiej ze sceny, słuchany i oglądany bezpośrednio, nie skrepowany ciasnym kadrem telewizyjnego ekranu. Co więcej, tekst przeznaczony dla teatru wystawiony w telewizji zamienia ją w swoistą imitację teatru, utratniała telewizję, podporządkowuje ją rygorom znacznie starszej i bardziej doświadczonej sztuki, jaką jest właśnie teatr. Tymczasem jesteśmy często świadkami „sprawdzania się” w telewizji tekstu niedramatycznego. Mam na myśli adaptacje opowiadań, nowel, powieści. Nie pisane z myślą o widoku niosą one nierzadko ładunek dramatyczny. Wystarczy wtedy warsztat doświadczony dramaturga, by w drodze rozmaitych zabiegów — skrótów, przedstawień, uzupełnień — zamienić słowo pisane w tworzywo widowiska.

Tworzywem tym będzie nie tylko spreparowany dialog, który zorganizuje wypowiedź aktorskie, ale i te warstwy znaczeniowe tkwiące w tekście literackim, które przelożone można na język obrazów, na elementy scenograficzne w studio, lub na fragmenty rzeczywistości włączane do widowiska na zasadzie dokrętek filmowych.

Wartość tekstu dla telewizji mierzyć się więc będzie z jednej strony jego walorami treściowymi, ideowymi, a z drugiej strony zawartością tych elementów, które posłużą jako budulec przy tworzeniu widowiska telewizyjnego. Im bogatszy jest w skojarzenia obrazowe, w podteksty intelektualne i emocjonalne dla aktorów, tym większą przedstawia szansę dla przyszłego spektaklu telewizyjnego.

Wiemy jednocześnie, że obraz telewizyjny nie wymaga tak dużego zróżnicowania, zmienności i dynamiki, jak obraz filmowy. Dowodów na to dostarcza stale Adam Hanuszkiewicz i jego „Studio 63”. Choćby ostatni jego spektakl — „Rozmyślenia przy gołębim” — oparty o felietony Stanisława Dygata. Tekst pozornie nie dramatyczny, nie podparty wymyślną inscenizacją, w ustach dobrych aktorów sprawdza się znakomicie, przeżywa jakby swój renesans, budzi się do innego, „widowiskowego” życia.

Jak widzimy odpowiedź na postawione na wstępie pytania jest złożona. Co więcej, telewizja wciąż jeszcze szuka właściwych dla siebie form wyrazu. W ramach tych poszukiwań jedno z głównych miejsc zajmuje właściwy dobór tekstów literackich.

W. ORŁOWSKI

„Literatura Radziecka” — prezydent kultury KRAJU RAD

Przed paroma dniami gościł w redakcji „Odgłosów” WALERIAN ARCIMOWICZ — redaktor naczelny wydania polskiego miesięcznika „Literatura Radziecka”. Rozmawiamy z naszym gościem na temat tego pisma, które polskiego czytelnika zapoznaje z całokształtem spraw literatury i sztuki Kraju Rad.

ODGŁOSY: „Literatura Radziecka” obchodziła ostatnio jubileusz i jest to chyba okazja, aby podsumować osiągnięcia tego periodyku. Zwłaszcza że sporo już lat minęło od jego powstania.

WALERIAN ARCIMOWICZ: „Minęło równo 20 lat odkąd wydajemy „Literaturę Radziecką” w języku

polskim. Ukazują się także wydania angielskie, niemieckie, hiszpańskie i japońskie. Ale mówiąc żartobliwie, to myśl o założeniu takiego pisma jest dużo starsza bo po wstała przed 140 laty. Adam Mickiewicz bowiem w czasie swego pobytu w Rosji planował założenie pisma w języku polskim, będącego prezentacją rosyjskiej literatury. Nie pozbawiony pikanterii jest fakt, że Mickiewicz chciał nazwać swoje pismo „Lira” — a właśnie „Literaturę Radziecką” my i nasi Czytelnicy nazywamy w skrócie „LiRa”. No cóż — Mickiewicz był wieszczem, więc przewidywał i literaturę radziecką...

Mówiąc jednak poważnie — prezentujemy w naszym miesięczniku to wszystko co

najciekawsze, najlepsze w bieżącej „produkcji literackiej” Kraju Rad. Przeciętnie w ciągu roku publikujemy około 15 powieści — stały się je prezentować całe — do skrótów czy fragmentów uciekamy się tylko w ostateczności. Poza tym publikujemy bardzo dużo opowiadań — no i w każdym numerze prezentujemy twórczość przynajmniej jednego poety.

Literatura radziecka to — jak wiadomo — ogromna mozaika, składają się na nią także literatury narodowe. Zapoznajmy więc polskiego czytelnika również i z nimi. Dla przykładu — wydałmy specjalne numery poświęcone literaturze ukraińskiej, azerskiej, armeńskiej, literaturze krajów nadbałtyckich. Bardzo często wydajemy numery specjalne poświęcone jakiemś jednemu zagadnieniu.

Były takie numery z okazji 50-lecia Rewolucji Październikowej, był numer poświęcony podródom pisarzy po Kraju Rad, w innym znowu prezentowaliśmy tylko reportaże z okazji 100-lecia

urodzin Lenina, przygotowujemy numer zawierający utwory literackie poświęcone tej wielkiej postaci. Natomiast z okazji 25-lecia PRL przygotowujemy specjalne wydanie na temat literatury i książki radzieckiej w Polsce na przestrzeni tego ćwierćwiecza. Przynajmniej raz w roku wydajemy też numer poświęcony literaturze dla dzieci i młodzieży.

„ODGŁOSY”: Oczywiście sprawy literackie dominują w piśmie noszącym tytuł „Literatura Radziecka”, ale przecież na tym się nie kończy...

WALERIAN ARCIMOWICZ: Oczywiście, że nie. Chcemy naszym Czytelnikom — a mamy ich w Polsce prawie 12 tysięcy — przekazać możliwie pełną informację o całokształcie radzieckiej kultury. Dlatego też na łamach „Literatury Radzieckiej” znajduje się miejsce i dla spraw teatru, filmu, plastyki... W każdym numerze prezentujemy w sposób możliwie szeroki twórczość jednego plastyka — dajemy dużo reprodukcji

jego prac, omówienia i recenzje, odnotowujemy ciekawskie wystawy plastyczne... Ponadto mamy duży dział polonistów radzieckich i sowietologów polskich. Opublikowaliśmy na przykład w swoim czasie spory wybór patriotycznych wierszy polskich z okresu caratu — były to publikacje całkowicie niezbrane i stanowiły na pewno jakieś odkrycie literackie.

„ODGŁOSY”: A jak wygląda sprawa tłumaczy?

WALERIAN ARCIMOWICZ: Wychodzimy z założenia, że najlepiej przekłada język polski ten, dla którego jest to język ojczysty. Dotyczy to zresztą przekładów na wszystkie języki. Można znać świetnie jakiś język, ale od tłumacza wymaga się przecież znajomości nie tylko filologicznej — to sprawy rytmu, nastroju, tego wszystkiego co jest do chem języka.

Dlatego też przede wszystkim korzystamy z tłumaczeń dokonywanych przez pisarzy polskich. Tak więc współpracujemy z Leopoldem

Lewinem, Włodzimierzem Słobodnikiem, Józefem Ozga-Michalskim, Tadeuszem Słowiakiem, Zbigniewem Bienkowskiem, Małgorzatą Hillar, Anną Kamińską, St. R. Dobrowolskim, Jerzym Jędrzejewiczem, Wierą Biełkowską, Ireną Piotrowską, Aleksandrem Minkowskim... Mamy też polskich tłumaczy w Moskwie jak na przykład Marię Dolińską czy córkę Wandy Wasilewskiej — Ewę, która przełożyła na polski wiele opowiadań publikowanych w „Literaturze Radzieckiej”.

„ODGŁOSY”: Zdajemy sobie sprawę, że jeśli w Polsce istnieje duża znajomość literatury radzieckiej, to jest to w głównej mierze za sprawą „Literatury Radzieckiej”. Należy więc życzyć Wam i sobie aby prawda za następne lata służyła pogłębieniu znajomości radzieckiej kultury u polskiego Czytelnika.

Rozmawiał: J. W.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

JAK SIĘ KRADNIE DZIELA SZTUKI

Jeden z ostatnich numerów tygodnika „Paris-Match” przynosi interesujące informacje na temat działalności wielkiej mafii, działającej głównie na terenie Włoch, a zajmującej się kradzieżą i nandaniem dzieł sztuki i zabawkami archeologicznymi. Mafia ta zatrudnia liczne rzesze fachowców jak archeologów, antykwariuszów, krytyków sztuki, handlarzy obrazami itd. Ludzie z mafii przebrani za turystów przewożą w swych bagażach brzozy etruskie, obrazy słynnych malarzy czy rzeźbiarzy. Mafia działa nieraz bardzo sprytnie, nieraz bezczelnie, a włoska policja choć wykryła niejedno przestępstwo nie może sobie dać rady z całkowitą wykreśleniem i zlikwidowaniem mafii.

Oto pewnego dnia policja odkryła w Toskanii, nieznanego dotąd grób etruski całkowicie spiędrwany. Jak wynikało z dochożenia jakis czas przedtem, nad terenem, gdzie był ów grób, latał przez dłuższy czas turystyczny samolot. Następnie zjawili się w wiosce elegancyści panowie ze zdjęciami lotniczymi i mapami. Odszukałi według tych dokumentów grób etruski i na jawnym wieśniaków do pracy, kazali im kopać. Chiopi sądząc, że jest to przedsięwzięcie państwowej ekipy archeologów, pracowali spokojnie nad wydobyciem zabytków. Jedno co mogło ich dziwić, to to, że roboty odbywały się jedynie w nocy i pod silną strażą rozstawioną wokół rozkopanego terenu. Jak się okazało potem, była to archeologiczna ekspedycja mafii. Mafia zorganizowała 613 podobnych wypraw. Zebrała, jak to stwierdziła włoska policja, 785 cennych zabytków, które następnie zostały wywiezione z Włoch. Wartość skradzionych i wywiezionych przedmiotów sztuki idzie

w miliardy lirów, a zarobki mafii wynoszą dziesiątki miliardów. Punkty przerzutowe skradzionych dzieł rozrzucone są w różnych krajach, m. in. w Szwajcarii i Kanadzie, i tak np. w Zurychu policja odkryła u jednego z antykwariuszów malowidła ściennie pochodzące z domu Pompejusza Flawiusza w Pompei.

W związku z tymi kradzieżami policja włoska chciaaby stworzyć specjalne ekipy, które zajmowałyby się śledzeniem członków mafii i udaremnianiem im dokonywania kradzieży dzieł sztuki i zabawków. Jeśli nic się nie zmieni, to jak twierdzi jeden z wysokich oficerów włoskiej policji, mafia sprzątnie sprzed nosa te zespoły policji stynną rzeźbę „Dawid” Michała Anioła.

WIELKIE NAGRODY LITERACKIE AKADEMII FRANCUSKIEJ

Wielką Nagrodę Akademii Francuskiej w dziedzinie prozy otrzymał w wysokości 20.000 franków po wiesciopisarz i eseista, Pierre Gascar. Urodził się w roku 1916. Przed rozpoczęciem kariery pisarskiej zajmował się długi czas dziennikarstwem. W czasie drugiej wojny światowej walczył na froncie i dostaje się do niewoli. Dłukrotnie usiłuje zbiec, ale za każdym razem zostaje schwytyany. Przebywał w różnych obozach m. in. w Rawie Ruskiej. Przechyca z czasów przebywania w obozach opisał w opowieści „Les temps de merle” (Czas umarłych), która weszła w skład tomu opowiadań „Les Bâtes” (Zwierzęta). Za tom ten otrzymał w roku 1953 nagrodę Goncourtów. „Czas umarłych” jest protestem przeciwko wojnie i hitleryzmowi. W niedługim czasie potem Pierre Gascar porzucił dziennikarstwo (artykuły prasowe podpisywał swym

prawdziwym nazwiskiem — Pierre Fournier) i zajmuję się wyłącznie tworzością literacką. Pisze m. in. autobiograficzną powieść pt. „La graine” (Ziarno). Podróżuje do krajów egzotycznych, a wynikiem tych podróży jest powieść pt. „La faim des vivants” (Głód żywych). W książce swej opisał kłaki jakie trapiły ludność krajów, które zwiedził.

Ponadto Pierre Gascar jest autorem powieści pt. „Les meubles” (Meble), „Le visage clos” (Zamknięta twarz), „Le sable vit” (Żywy piasek), „Le charme” (Wdzięk).

Ostatnio, jak sam stwierdza, porzucił powieści uprawiając eseistykę oraz prowadząc wykłady na uniwersytecie w Austin w USA.

W dziedzinie poezji Wielką Nagrodę Akademii Francuskiej w wysokości 10.000 franków otrzymał Robert Sabatier. Jest on autorem czterech zbiorów poezji. Ostatni ma tytuł „Zamki milionów lat”. Robert Sabatier oprócz poezji pisuje powieści i krytyki literackie. Jest kierownikiem literackim w jednym z paryskich wydawnictw. O swym dziecinstwie (a miał je smutne jako sierota) pisarz, który do tej pory nie mówił nigdy o sobie, opowie po raz pierwszy w książce, która ukazuje się jeszcze w tym roku pt. „Les Allumettes suédoises” (Szwedzkie zapalniczki). Robert Sabatier ma 46 lat.

„DAVID COPPERFIELD” NA EKRAKIE

Angielski reżyser Delbert Mann filmuje słynną powieść Charlesa Dickensa „David Copperfield”. W roli głównej wystąpi Robin Philips. Powieść Dickensa oparta jest na materiałach autobiograficznych,

UTALENTOWANY RZEZBIARZ

Mając lat dwanaście Sergiej Bagdasarian, syn kamieniarza, próbował po

Pomnik „Karabachcy” wyrasta spośród pierwotnego, górzystego krajobrazu, wlecząc wzgórze, które służy rzeźbie jako naturalny postument. W ten



raz pierwszy swych sił w rzeźbie. Uczeszczał wtedy do Pałacu Pionierów. Po ukończeniu szkoły śred-



Sergiej Bagdasarian przy jednej ze swych interesujących rzeźb.

niej kształcił się w Instytucie sztuk pięknych, gdzie w roku 1952 wykonał interesującą rzeźbę dyplomową. Od tej pory artysta tworzy wiele rzeźb, w przeważnej części są to portrety jak „Kompozytor Komitas”, „Bohater Związku Radzieckiego Awietisjan”, „Kudriasz” (portret ormiańskiego młodzieńca).

Sergiej Bagdasarian jest autorem monumentalnej rzeźby pt. „Karabachcy”. Pomnik ten, którego celem jest wyrażenie siły ekspresji, oryginalności ujęcia i wielkie mistrzostwo wykonania, odsłonięty został w roku 1967 w miejscu położonym o dwa kilometry od Stepanakertu stolicy Nagorno-Karabachskiego Obwodu Autonomicznego w Azerbejdżńskiej SRR.

w odcinkach powieści pt. „Kitty Bell sierotą”. Powieść była plagiatem stynnej, na wpol autobiograficznej powieści Charlotty Bronte pt. „Jane Eyre”.

Podobno w kregach literackich panowało przekonanie, że plagiatu dokonał Eugene Sue. Ponieważ nie znano żadnej wypowiedzi Charlotty Bronte, jej biografowie przypuszczali przez czas dłuższy, że ona sama jest autorką rzekomego plagiatu.

Ostatnio jednak jeden z kalifornijskich kolekcjonerów ujawnił list pisany przez Charlottę Brontę, w którym autorka „Jane Eyre” stwierdza, że jest pożałowania godnym, jeśli Sue upadł tak nisko, aby korzystać z pomysłów innych. Jednakże specjaliści, biografowie Suego, nie traktują tego jako dowodu, stwierdzając kategorycznie, że Sue nie popełnił plagiatu. Tak więc „Kitty Bell” jest podwójnie sierotą.

GRAFIKA GOYI

Obecnie, po bardzo długim czasie, paryzanie mają możliwość zapoznania się z niezwykle ciekawą wystawą grafiki Goyi.

Francisco de Goya y Lucientes (1746-1828), jeden z najwybitniejszych artystów Hiszpanii, największy w swej epoce malarz Madrytu, urodził się w wiosce aragońskiej, a zmarł w Bordeaux we Francji. Oprócz malarstwa uprawiał też grafikę. Pozostawił trzy cykle satyrycznych grafik: „Przysłowia”, „Kaprysy”, „Okrucieństwa wojny”. Czwartym cyklem jest „Walka byków”. Te właśnie cykle są obecnie wystawiane w Paryżu, budząc wielkie zainteresowanie. Jeden z krytyków sztuki podkreślił, że „od czasów Dürera i Rembrandta żaden z grafików nie dorównał im prócz Goyi.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- ◆ WSZYSTKO O URLOPACH
- ◆ CO SIĘ DZIAŁO W OPOLU
- ◆ MŁODOŚĆ TO ODWAGA
- ◆ W OCZEKIWANIU NA ŁÓŻKO
- ◆ Z WIZYTĄ U M. WAŃKOWICZA

Marek Hłasko — człowiek, który nie wierzył w poranek

W chwili śmierci otaczający go chrapliwe, gardłowe dźwięki obcej mowy. Śmierć przypadkowa? samobójcza? — dopadła go w obcej pościeli, w obcym kraju, w tej ostatecznej chwili otulała go niemleczka noc...

Marek Hłasko — pisarz, który „wybierając wolność” wybrał zapomnienie — był kiedyś symbolem i legendą młodej literatury polskiej połowy lat pięćdziesiątych. Kim jest dziś dla pokoleń, które weszły w dorosłe życie już po jego decyzji? Dla tych pokoleń Marek Hłasko jest pustym dźwiękiem, zbankrutowanym emigrantem, nawet jego zwykłej ludzkiej tragedii nie jest w stanie pojąć to nowe pokolenie.

A jest to przecież ponura i wstrząsająca tragedia zdolnego pisarza, który odrzucił Polskę nie przeczuwając, że odrzucił to wszystko, co było w nim najlepsze. Marek Hłasko — polski pisarz, kiedy

umierał w obcym mieszkaniu w Wiesbaden nie był już polskim pisarzem. Umierał z nansenowskim paszportem w kieszeni i z nansenowskim sercem w pierś. Czy o tym wiedział, czy zrozumiał? Chyba tak i to też jest miarą jego tragedii.

Szwajcarska gazeta „Neue Zürcher Zeitung” z dnia 21 czerwca 1969 roku przypominała jego słowa wypowiedziane przed paroma laty:

„Dziś wiem, że do Polski nie wrócę — ale wiem także jak chciałbym się myśleć. Przez długie lata nie mówiłem po polsku — moja żona jest Niemką, moi przyjaciele to Amerykanie i Szwajcarzy, a ja z przerażeniem stwierdzam, że zacząłem myśleć w obcym języku, a potem przekładać to na polski. Ja wiem, że to oznacza mój kres...”

A więc wiedział. Niestety za późno. — Niestety — pozwolił rozegrać sobą,

swą twórczością, swoim życiem — rzytykowaną partię politykierską i dywersyjną. Pozwolił na zagranie sobą w politycznym pokerze — zawierzył nieuchwytomym i układowym twórcom zbankrutowanych pokerzystów.

Choć właściwie to nie tak... Marek Hłasko nie był w tej grze bierny. Był dojrzałym pisarzem kiedy dokonał wyboru, kiedy odrzucił Polskę i nie za bierność moźerszy go sądzić, a za tamten wybór, za aktywność w fałszywej grze przeciwko Polsce. Jego talent nie mógł i nie może być okolicznością łagodzącą.

Stworzono wokół niego legendę. W almanachu młodych gdzie debiutował swoją na pół socrealistyczną „Bazą Sokolowską” wstępowało na literacką arenę wielu pisarzy o głośnych dziś nazwiskach. Ale wstęp do tego almanachu poświęcono tylko jednemu — Markowi Hłasko. Po jego debiucie książkowym, po tomie opowiadań „Pierwszy krok w chmurach” emoklerzy zachłystywali się z zachwytem obwołując go bardem pokoleń. W „Kameralnej” czekała na niego w szatni „dżurnka” marynarka, aby Marek Hłasko mógł wejść na salę zgodnie z gastro-nomicznym przepiśm... U-

wielbił szybko samochody i mocne wrażenia. Legenda rosła i rosły zachwyty emoklerów.

Aż przyszedł moment kiedy Marek Hłasko wymienił Polskę na najnowszy model „Jaguara”. Różnie się do dziś mówi o tej decyzji, różnych się szuka motywów, przyczyn i... winnych. Ale Marek Hłasko pozostał po tamtej stronie kurtyny jako polski pisarz i obiektywnej wymowy tego faktu nie zmienił nic. Pozostał po tamtej stronie kurtyny z tą którą obrażał nas, naszą pracę, nasz wysiłek i nawet te nasze polskie topole, o których umiał tak lirycznie i tęsknie mówić do spotkanych przypadkowo na Boulevard de Charonne — Polaków.

Ale Polska to nie tylko te topole, do których podobno tak bardzo tęsknił: Polska to także nasz trud i nasza zgrzyzota i miejsce każdego pisarza, który chce mieć prawo do przymiotnika — polski.

Niemiecka żona Marka Hłaski twierdzi, że machinalnie zażył on pełną fiolkę środków nasennych. Niemiecka żona Marka Hłaski nie jest w stanie pojąć ludzkiej, pisarskiej i wreszcie mimo wszystko — polskiej tragedii swojego męża. Niemiecka żona Marka Hłaski nie rozumie...

Czy mamy go rozumieć my? My, których zdradził, których wymienił na walutę angielską, francuską, niemiecką, izraelską... Na szybkie podróże autostradami zachodniej Europy, na obce niebo i obce rozgłoszenie?

Ale właśnie w tym kraju, gdzie nazwisko Marek Hłasko jest dla wielu pustym tylko dźwiękiem, albo symbolem dezercji, właśnie w tym kraju Marek Hłasko miał jedyną szansę jako pisarz i jako człowiek. Odrzucił tę szansę, aby umrzeć w obcym mieszkaniu, na cudzej pościeli — z nansenowskim sercem bezpieczeństwa w pierś.

„Głupcy wierzą w poranek” — tak napisał kiedyś Marek Hłasko. A w co wierzył on sam? Jaka wiara pozostała mu kiedy odrzucił wiarę w sens naszego trudu, w Polskę? Pozostał pustym jak niepotrzebna puszcza po piwie „Hansa Pilsner”, pozostał wypalony jak paczka papierosów „Krone”...

I wtedy przyszła ta noc w Wiesbaden, w obcym mieszkaniu, na cudzej pościeli... Ponura tragedia byłego Polaka, który już nie umiał myśleć po polsku.

JERZY WILMAŃSKI

Bez strachu

CO ROBIĆ?

Co robić, co robić? Bo chyba coś trzeba koniecznie zrobić, tylko nie wiem co... Pracuję, jem, chodzę na spacer — ale to wszystko mało — to wszystko nie jest zupełnie, ostatecznie, nie demonstuje wszystkich moich możliwości. Kiedyś gdy nachodziło mnie to pytanie szukałem doradcę — oto stoję przed mądrym starcem i pytam go co robić — starzec odpowiada mi do radzając czynności typowe dla młodego człowieka. Oto stoję przed głupim starcem i pytam go co robić — głupi starzec doradza mi czynności typowe dla starca. Wracam do domu i rozważam rady mądrych i głupiego starca — obie są złe — mnie trzeba czegoś niezależnego od wieku, i od mądrości i głupoty. Kim powinien być, jak powinien wyglądać mój doradca? Gybym żył w świecie baśni byłby to może stary kruk, drzemający na szczycie stromej góry, a radę od niego można by otrzymać za cenę odważnego wspinania na górę i przelamania lęku przed głosami nawołującymi do przepaści. Ale ten świat nie jest baśnią — to świat produkuje baśń by uzyskać zaprzeczenie własnej natury. Może zapytam młode dziecko, a ono odpowie mi milczeniem i wsadzeniem paluszka na górę, albo doradzi mi bym liżał cukierki na patyku? Może zapytam psa, a ten otrze się o moje kolana, albo szepcze i pokazuje zęby? Może zapytać kogoś podobnego do mnie — ale przecież nie ma nikogo podobnego do mnie. Może spytać kobietę — ale one nie lubią takich pytań, mniemają, że same są na nie odpowiedzialne. Podobno przy szukaniu rady grozi zdrada — a może to będzie dobre — zapytam zdrając, człowieka wrednego i postąpię odwrotnie w stosunku do jego rady? Tylko gdzie znaleźć zdrając, jak go poznać? Brak mi w tych kwestiach intuicji, fotów biorę za znacznych ludzi, znacznych ludzi za tórfów. A może nie ma tórfów, ani znacznych ludzi — nigdy więc ich nie znajdę aby wysłuchać ich rad... Jest cisza — czy ta cisza jest odpowiedzią, czy odpowiedzią jest wiatr i słońce i radość i rozpacz? A może udać się do wykwalifikowanego psychologa — ten zbada testami i obliczy iloraz mojej inteligencji, dokona inwentarza osobowości i w oparciu o te dane udzieli rad naukowych na przykład: „Niech pan często przebywa w pokoju o niebieskich ścianach, niech pan unika samotności, niech pan przed zaśnięciem powtarza wiele razy, że obudzi się pan pełen radości i siły”. To są stare sposoby, na pamięć je znamy — może kiedyś były skuteczne... Co robić? Siedzę w pokoju i usiłuję sobie przypomnieć pewnego doradcę — jego nazwisko, wygląd, adres. Wydaje mi się, że kiedyś u niego byłem — jechałem taksówką — mieszkał w nowych blokach. Idę ulicą i staję na postoju taksówki. Muszę przepuścić kobietę z dzieckiem, potem pilaka, który krzyczy na mnie i na szofera. Wreszcie wsładam do taksówki. „Niech pan mnie zawiezie”, mówię do szofera. „Gdzie?” „Tam gdzie już pan mnie kiedyś zawoził i niech pan nie udaje, że pan nie zna adresu, że pan to nie pan. No niech pan wszystko pamięta i niech pan już szybko jedzie”.

BERNARD SZTAJNERT

OKALECZONA REKA

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru)

— I bardzo źle robicie — przerwał doktor Anton. — Goury był terroryzowany przez tę mumię. Właściwie, nie jest to prawdziwa mumia. Wasi ludzie w starożytności nie mieli kultu dla zmarłych, jak Egipcjanie. Przechowywanie się tego trupa w owym grobowcu jest faktem czy sto przypadkowym.

— Chafik przerwał z niecierpliwością. — Ziemia mojego kraju dostarcza więcej historii niż zbiorów. Proszę was, abyście mi raczej opowiadali, jak zmarł Goury.

Anton wzruszył ramionami. — A więc dobrze. Przesuwał się przez największą część otworu. Ja byłem zaraz za Gourym. Nagle zgasty światła.

— Ktoś z obecnych zahaczył o przewodnik elektryczny i przerwał jego połączenie z akumulatorem — wyjaśnił Garwith. W tym momencie, w chodniku było około dwunastu osób: doktor Anton przede mną, Gisela z mną, potem Salah Kubba i grupa robotników. Znaleźliśmy się nagle w zupełnych ciemnościach.

— I nastąpił dramat — opowiadał dalej Julius Anton, — Goury zaczął wyć. Nigdy nie słyszałem takiego przerażenia w krzyku człowieka. Wołał: „Puść mnie!” Cofnął się do tyłu i znów rzucił się naprzód.

— Dlaczego naprzód? — chciał wiedzieć Chafik.

Archeolog wyciągnął ramiona. — Może aby pochwycić nieprzyjaciela? Lecz wkrótce potem wstrząsnęły nim drgawki, wierzgnął nogami, charczał jak by się dusił. Okropnie!

Garwith okazywał więcej spokoju przedstawiając tragiczną sytuację — Goury walczył z czymś tam... jestem tego pewny. Ale chodnik jest wąski i nie mogliśmy zobaczyć, co go przytrzymało. Doktor Anton usiłował wyciągnąć go na zewnątrz.

— Za nogi — tłumaczył Anton, teraz już spokojniejszy — lecz na próżno. Nie udało mi się poruszyć go. Ktoś, albo coś trzymało z całej siły. I wreszcie ciałło Jamila osłabło, był martwy. Wyciągnąłem się ponad nim, aby uwolnić go z tego, co trzymało. Nie tam nie było! I nagle...

Zdenerwowany Anton otarł czoło z kroplistego potu.

— I nagle znów nie go nie trzymało!

— Czy jest jakaś inna droga prowadząca do grobowca?

— Nie ma absolutnie żadnej, panie inspektorze. Ponadto, mój odważny asystent Ryszard wszedł...

— Ależ tam nie nie było — prócz tej przekłetej mumi! — zapewniał Garwith.

— Czy mój przodek był już zaszytetylowany? — zapytał Chafik.

Garwith podrapał się po głowie ręką, w której brakowało kciuka. — Nie — powiedział.

— Jednak w godzinę później nóż był już wsadzony w plecy mumi! — podjął Anton. Spojrzał na ruiny i uniósł się złością. — Jak bym już nie miał dość innych kłopotów!

— A więc to wszystko — zakończył badania Chafik — narzecie czegoś się dowiedziałem. Czy to prawda, że pan wstrzyma prace archeologiczne, panie doktorze?

Wyraz twarzy Antona zionął wściekłością. — I cóż mogę zrobić! Fundacja, która finansowała moje prace wykopaliśkowie, wstrzymała wysyłkę pieniędzy. Mówią, że za dużo wydałem. A przecież praca jest moim zyciem.

Inspektor, słysząc przenikliwy ton fanatyzmu doktora pomyślał: — Gdyby ten człowiek część swych namierzonych uczuć poświęcił własnej żonie. — Głos no zaś powiedział tonem współczucia: — Rozumiem, potrzeba tu dużo pieniędzy dla takiej armii robotników. Czy nikt z waszych ludzi nie uciekł po fakcie zbrodni?

— Tylko jeden, nazywamy go El Chukar — powiedział Anton.

— Chukar znaczy u nas kuro-patwa — zauważył inspektor. Doktor Anton roześmiał się.

— Właśnie, ten człowiek ma coś w sobie, co przypomina kuro-patwę. Nie jest zupełnie głupi, ale trochę stuknięty, jak to wy mówicie. Był służącym Jamila.

— El Chukar — tłumaczył Garwith — był bardzo przywiązany do swego pana. Prawdopodobnie skrył się między ruinami

aby pozostać sam na sam ze swym bólem.

Chafik zauważył sucho: — My na wschodzie kochamy ból, panie Garwith. Dlatego dziwi mnie zniknięcie tego człowieka — uważam, że należy go poszukać. A teraz, proszę mi wybaczyć, mam spotkanie ze zmarłym, naturalnie tym nowoczesnym.

Leżał na kawałku płótna pod jednym z namiotów. Inspektor, który nie wzruszał się łatwo, nie mógł powstrzymać się od okrzyku: — Ależ to była masakra!

— Tak, proszę pana, i ja odniosłem takie wrażenie — potwierdził Abdullah.

— Wygląda jak ktoś nieudolnie powieszony. Szyja jest poszarpana. Abdullah, co o tym myślisz?

— Inspektorze, ręce, które go dusiły, były niezwykle twarde. Prawie jak by nie były z ciała...

Inspektor, pochylony nad trupem, uniósł się gwałtownie i chwycił swego pomocnika za szyję. — Co czujesz? — zapytał.

— Oto, panie... czuję przede wszystkim pana kciuka.

Chafik puścił go. — Uchwyt przy duszeniu naciska przede wszystkim na kciuki... i ślady kciuków są głębsze od pozostałych. Zwróć na to uwagę, gdy będziesz badał pana Goury.

Sierżant przytaknął. — Panie inspektorze, nie widzę tutaj opisanych przez pana kontuzji, które zapewne są widoczne na mojej szyi. Nacisk na szyję zmarłego jest jednakowy we wszystkich miejscach. Wygląda tak, jakby dusiciel nie miał kciuków.

— I ja jestem tego zdania — powiedział Chafik i wyszedł z namiotu.



Nad miejscowością Akkar górowała obszerna piramida z cegiel, na której niegdyś wznosiło się sanktuarium. — Zakłete miejsce — narzekal sierżant wspinając się wraz z inspektorem.

— Jak wszystkie cmentarze na wschodzie. Ale, przynajmniej tutaj jesteśmy bezpieczni i dalecy od niedyskretnych uszu. Czy są jakieś pomysły rezultaty polowania na kuropatwę?

— Nie, tuż ludzi szuka go wszędzie, lecz dotychczas bez rezultatu.

— Musimy kontynuować poszukiwania. Może uciekł na wieś? Czy przeprowadziłeś badania nad stosunkiem doktora Antona do jego przemiej. żony?

— Tak, panie. Robiłem to naturalnie bardzo dyskretnie. Doktor traktuje ją chłodno. Z drugiej strony, kilka dni temu, pan Garwith pokłócił się ze zmarłym.

— Czyżbyś chciał insynuować, że pan Garwith był zazdrosny? Jestem pewny, że pani Anton nie poczyniła, aby wywołać kłótnię między dwoma rywalizującymi wielbicielami.

— Zgadza się. A nawet pani Gisela odepchnęła zabieg Jamila, który był znany jako uwodziciel.

— Pozostawmy w spokoju jego reputację. Teraz już nie żyje. Istotne jest to, że Gisela jest osobą cnotliwą.

Chafik usiadł z rękami wokół kolan, w pozycji swego przodka. — Co się wydarzyło w Akkarze? — zapytał swego podwładnego.

— Panie inspektorze, moje wiadomości historyczne są zbyt niewystarczające, aby...

— Ależ nie to, myślę o czasach nam bliższych, sprzed kilkunastu lat.

Abdullah przytaknął. — Rozumiem, chodzi panu o drugą wojnę światową, kiedy w tych stronach wyładowały lotnicze jednostki wrogów.

— To byli sabotażyści — dodał Chafik.

— Mieli wspaniałe rozeznanie geograficzne w naszej ziemi, lecz nie znali dostatecznie jej mieszkańców. Sądził, że można przekupić złotem zasady naszych plemion. Nie udało im się, zostali aresztowani, lecz nikt nie znalazł ich złota.

— Tak, to prawda. Przypominam sobie, jak zapasy wrogów, zrzucone przez ich spadochrony, wpadły w nasze ręce. Złota jednak tam nie było.

Zbliżał się zachód słońca. Prawie nagle zrobiło się ciemno. Zamyślony Chafik wstał i zaczął ostrożnie schodzić z ruin piramidy. Po kilku minutach zatrzymał się nagle, przywołany strachem do ziemi. Jakis olbrzymi cień wyłaniał się za jego plecami. Cień miał ludzkie kształty, lecz bardzo dziwne ruchy. Chafik nie posiadał przy sobie broni, przeklinał ciemność i swoją nieokielznaną fantazję. Wreszcie pomyślał, że strach jest dowodem małej wiary — i przygotował się do obrony. Cień przybierał wyraźne kształty i Chafik stał się spokojniejszy. Za chwilę jednak od czuł nieludzką siłę, którą cień posiadał. Na moment uwoinił się z uścisku i krzyknął: — Abdullah! — Nagle dwie ręce znów go ścisnęły za gardło. Poczuł szum w uszach, gwiazdy na niebie wydały mu się sztucznymi ogniami... Nastąpiła nicość.

Gdy Chafik przyszedł do siebie, poczuł najpierw ból gardła. Otworzył oczy i spostrzegł w świetle lampy twarz kobiety. — Pani Gisela! — Każde słowo było dla niego torturą. Obejrzał się wokół — był w swoim namiocie, w obozie Antona.

Dokończenie nastąpi



Fot. L. Janczak



Lewym okiem

PALISADA GĘSTNIEJE

Zdarzy się czasem, że jedno z regionalnych pism codziennych, jakies na przykład „Nowiny Zduńskowolskie” czy „Życie Stupcy”, zamieści w rubryce „Listy czytelników” pełen zrozumiałego oburzenia głos miejscowej obywatelki: „dlaczego to w całym naszym mieście nie można kupić śliniaczka numer dwa? Czyżby władze nie wiedziały, że dzieci się ślinią?” itd. Po ogłoszeniu takiego listu na biurko dyrektora wielkiego zjednoczenia w wielkim mieście Łodzi trafia pismo z samego ministerstwa. Pismo, do którego załączony jest „odnosny” wycinek „Nowin Zduńskowolskich” lub „Życia Stupcy”, zawiera groźnie sformułowane polecenie z terminem trzech dni: podać ile wyprodukowano śliniaczków numer dwa w roku 1965, 66, 67, 68, ile przewiduje się w 69, ile planuje na 70, na 75, ile zapotrzebował handel, ile miasto, ile wieś, w jakim terminie, czy uzgodniono, kto z kim, dlaczego tak mało, kto winien. Setka urzędników zjednoczenia odłoży na bok wszystko inne, a rzuci się na zbieranie potrzebnych materiałów. Rozdziwiają się

telefony, zagrzechoczą dalekopisy, maszyny do liczenia, do pisania, powielacze. Goniec zaniesie nocą do mieszkania dyrektora mokre egzemplarze odpowiedzi do podpisu. Minister znajdzie na czas spiętą drukarkę tezkę zestawień i tablic z odpowiednim piśmem przewodnim na wierzchu. Wszystko tam będzie o śliniaczkach w skali kosmicznej. Nic nie będzie o śliniaczkach w Zduńskiej Woli ani w Stupcy.

Tak mniej więcej wygląda reagowanie na tak zwaną krytykę prasową, w odmianie, którą moż na by nazwać: makroreakcja na mikrokritykę. Różnica w skali tych dwóch działań jest taka, że praktycznych skutków oczekiwać absolutnie nie należy. Skutkiem zamierzonym jest tu bowiem wyłącznie wykazanie przez resort, że żaden głos społeczeństwa nie mija bez echa oraz spowodowanie, aby podległe temu resortowi zjednoczenie nabrało przekonania, że jego pracę społeczeństwo śledzi czujnie i ocenia. Nie jest zamierzonym skutkiem — zaopatrzenie Stupcy w śliniaczki, bo od tego jest sklepik PSS w samej Stupcy, nie resort i nie zjednoczenie. A sklepiki nie reagują na krytykę prasową. Dlaczego nie reagują? Dlaczego niczego nie muszą?

Pod moimi oknami wzdłuż ulicy ustawia się szereg ładnych nowoczesnych lamp łukowych Stupy tych lamp już są wkopane, kable przeciągnięte, rów zasypany, jeszcze tylko ułożyć z powrotem płyty chodnika. Pomiedzy łukowymi, nowoczesnymi lampami sterczą stare latarnie elektryczne, których nie wykopano. Jestem przekonany, że nigdy ich się nie wykopie. Dlaczego tak myślę?

Bo pomiedzy starymi latarniami elektrycznymi sterczą drewniane, ogromne stupy, na których kiedyś zawieszono były prowizoryczne kable do budujących się tu wówczas bloków. Te stupy od kilkunastu lat nie służą niczemu. A stoją mimo że przez ten czas ulicę przekonywano wiele razy. Aż rzewnie wspominać: o tych słupach pisałem cztery i pół roku temu, w swym siedemdziesiątym felietonie. A dziś jest dwieście pięćdziesiąty. Jubileusz. Jubileusz niepotrzebnych nikomu słupów i pisanych w wiatr felietonów. Cheecie dokładniej? Ulica Rewolucji 1905 roku. Słup przy słupie. Palisada gęstnieje.

W listopadzie opisałem trwającą od czerwca ubiegłego roku historię mojej korespondencji z Juventurem. Korespondencji jednostronnej, bo Juventur bimba i milczy. I nawet się nie chce obrazić, a już czas najwyższy. Daję ostatnią sobność: 22 kwietnia, a więc dwa miesiące temu, wystąpiłem do Zarządu Głównego w Warszawie polecony list z ponownym prośbą o wyjaśnienie: czy należy się zwrot nadpłaconych stu złotych za wycieczkę na Krym (wycieczka nr 356), czy nie?

I znów dwa miesiące milczenia. Krytyka prasowa przestała działać. Jakiemu resortowi podlega Juventur? Po ilu latach reaguje na imienne, konkretne listy? Po ilu latach reaguje na zaczepkę w prasie? A może w ogóle nie musi? Dlaczego niczego nie musi? Tymi najważniejszymi pytaniami kończę. Dwieście pięćdziesiąty raz.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (redaktor techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (poetka i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Włodzimierz Stokowski (z-ca red. naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 8 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” Łódź, ul. Żwirki 17, Zam. 1446, VI. B-12.